Na trzeciomajową manifestację zapraszałem wszystkich z którymi się spotykałem.
W tym dniu w kilku umówiliśmy się u jednego z kolegów. Przynieśliśmy biało czerwone flagi na, których szminką pożyczoną od mamy kolegi wykonaliśmy napisy: SOLIDARNOŚĆ ŻYJE ! Zwinęliśmy flagi i taksówka pojechaliśmy na Starówkę. Taksówka dowiozła nas do Kościoła Seminaryjnego na Krakowskim Przedmieściu, dalej nie dało się jechać, na ulicy stał tłum ludzi. Choć do Mszy Św. o 18.00 było jeszcze sporo czasu do Katedry nie można było dojść. Przy kościele Św. Anny stał kordon zomo. Cały Pl. Zamkowy był zamknięty. Na Starówce rozlegały się strzały i wybuchy petard. Pomimo stojących zomowców podeszliśmy bliżej Zamku Królewskiego, atmosfera była bardzo napięta, razem ze wszystkimi zaczęliśmy skandować z całych sił: Solidarność ! Solidarność ! Zomowcy zareagowali szybko, z agresją ruszyli na nas, zaczęli strzelać petardami z gazem łzawiącym, byli w pełnym rynsztunku: hełmy, maski, tarcze. Pały. Widać było, że są przygotowani na wielką wojnę. Petardy padające pod nogi łapaliśmy w dłonie i odrzucaliśmy w kierunku zomowców. Niedaleko mnie kilku zomowców dopadło zachodniego reportera, uderzony kilkakrotnie pałką upadł, wyrwali mu kamerę i rzucili ją o ziemię, podnieśli go z ziemi i zaciągnęli do budy (milicyjny Star) za nim wrzucili tam resztki kamery. Na całym Pl. Zamkowym zrobiło się potworne zamieszanie, wrzaski bitych, strzały, wybuchy petard z gazem łzawiącym. Nie wiem kiedy znalazłem się pod Barbakanem, uciekałem w kilkuosobowej grupie demonstrantów. Krzyczeliśmy: gestapo i uciekaliśmy uchylając się przed strzałami, czułem oddech zomowców na swoich plecach. Biegliśmy w kierunku Pl. Teatralnego, pod drodze przyłączali się kolejni ludzie. Ruszyliśmy na Śródmieście. Z Pl. Teatralnego wychodziła już grupa kilku tysięcy demonstrantów. Zomowcy za nami nie poszli, widocznie było ich za mało i całe siły koncentrowali na Starówce. Poczuliśmy się pewniej, znalazły się jakieś transparenty, rozwinęliśmy je, wzięliśmy się pod ręce i szliśmy w kierunku Marszałkowskiej. Szedłem na czele, obok mnie szły dwie młode uśmiechnięte dziewczyny. Wszyscy byliśmy bardzo radośni i pełni uniesienia. Na Marszałkowską weszliśmy w okolicy domu kultury radzieckiej, niektórzy chwycili za kamienie, ten szklany gmach o takiej nazwie był w tym momencie znakomitym celem. Jednak zwyciężył rozsądek większości , nam chodziło o coś więcej niż bezmyślne niszczenie czegokolwiek, prosiliśmy o rozwagę i to poskutkowało, żadna szyba nie poleciała. Przeszliśmy obok tego ponurego gmachu gwożdżąc i skandując: wszystkie wrony na plac czerwony ! Ciągle przyłączali się nowi ludzie, było nas już kilkanaście tysięcy gdy przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej ze Świętokrzyską nastąpił atak setki zomowców przy wsparciu suk i bud. Uciekaliśmy Świętokrzyską w kierunku Emilii Plater. Tam znowu uformowaliśmy kilkutysięczny pochód i ruszyliśmy w kierunku Dworca Centralnego. Z wysokiego masztu przy dworcu ściągnęliśmy czerwoną flagę a w górę powędrowała flaga Solidarności. Odśpiewaliśmy Mazurka Dąbrowskiego, Łzy cisnęły się do oczu, byliśmy niezwykle szczęśliwi. Na murek wdrapywali się kolejni mówcy, padały różne propozycje, ja proponowałem pójście pochodem na Ochotę. Większość była jednak za tym aby ruszyć na KC. To musiało skończyć się tragicznie. Przy skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich z Marszałkowską zaatakowali nas z czterech stron. Gazy łzawiące, armatki wodne, petardy ogłuszające, rozbili nas, każdy uciekał na własną rękę. Biegiem wycofywałem się w kierunku Dworca Centralnego, wraz z innymi wpadłem do środka, nie wszystkim się udało, wielu padło od pałek i strumieni wody. Do gmachu dworca zomowcy nie odważyli się wejść, ostrzeliwali nas petardami z gazem łzawiącym. Kilka petard wpadło do środka przez wybite szyby, trzeba było się ewakuować. W przejściach podziemnych też był gaz, trzeba było szybko wybiegać na powierzchnię. Miałem już dość, w oddali słychać było wybuchy petard a ja wracałem do domu. Szedłem w kierunku Pl. Zawiszy, gdy znienacka nadjechały milicyjne suki (nysy), z samochodów wyskoczyli zomowcy i zaczęli wyłapywać pojedynczych ludzi, powstała panika, uciekać nie było gdzie, jedyne co pozostało to skakać z nasypu w dół, prosto na tory kolejowe przy stacji W-wa Ochota. Zomowcy z góry ostrzeliwali nas gazami.

Dostało się również przypadkowym podróżnym czekającym na pociąg. Wszyscy musieli uciekać z peronów. Miałem kompletnie dość, wyczerpany wskoczyłem do nadjeżdżającego autobusu 157 i wracałem do domu. W autobusie podniecenie, część pasażerów opowiadała o wydarzeniach na mieście ale niektórzy wyglądali na zupełnie obojętnych, po prostu zwykli ludzie wracający z pracy. Chciało mi się krzyczeć: ludzie nie bądźcie tacy obojętni, przecież Warszawa walczy, młodzież i starsi biją się o naszą wolność i godność a wy udajecie, że nic się nie dzieje. Miałem poczucie, że nie wszyscy myślą tak jak ja, nie rozumiałem tego i podświadomie czułem do nich niechęć. Dla mnie wszystko było jasne, prawdziwi Polacy to ci, którzy walczą z komunizmem, tu i teraz, na ulicach, w podziemiu, w zakładach pracy. To ci, którzy modląc się, śpiewając w kościołach „Boże coś Polskę" podnoszą dwa palce do góry w znaku Viktorii, tak wtedy myślałem.
Gdy dotarłem do domu całą rodziną słuchaliśmy Głosu Ameryki, cieszyliśmy się, że w innych miastach też były manifestacje. Niestety znowu zginęli ludzie.
W dwa lata po tej trzeciomajowej manifestacji w 1984 roku obchodziliśmy pierwszą rocznicę śmierci Grzesia Przemyka zamordowanego przez milicjantów na komendzie przy Jezuickiej. Po Mszy Św. w kościele Św. Stanisława Kostki przemaszerowaliśmy na Powązki aby zgromadzić się przy grobie Grzesia, był z nami Ksiądz Jerzy Popiełuszko, który miał zginąć za niecały rok zamordowany przez oprawców z tego samego resortu MSW. Po zakończeniu uroczystości podeszły do mnie dwie pracownice cmentarza, które zaprowadziły mnie na jeszcze inny grób. Widząc, że mam aparat fotograficzny chciały abym to miejsce utrwalił. Zrobiłem zdjęcie płyty nagrobnej na której było napisane; ŚP Joanna Małgorzata Lenartowicz, żyła lat 19, zm. tragicznie w Maju 1982 R.
Po trzeciomajowych manifestacjach 1982 r. w zakładzie pracy były gorące dyskusje, głosy były różne, ale większość reagowała jak zwykle: co to da ? Ludzie wierzyli komunistycznej propagandzie, która trąbiła, że na ulice wyszły wyrostki i chuligani z chęcią wyżycia się. W telewizji non stop pokazywali młodych ludzi rzucających kamieniami, wznoszących barykady. Tłumaczyłem, że jest to nieprawda, że demonstranci byli w różnym wieku, że kamieniami rzucali broniąc się przed szarżami uzbrojonych, dzikich zomowców na dopingu. Ludzie dla świętego spokoju kiwali głowami ze zrozumieniem ale nie wyglądali na przekonanych do końca. Ciągła, nachalna propaganda telewizyjna, radiowa i gazetowa robiła swoje.
Osobiście po dwóch majowych manifestacjach uczucia miałem mieszane, z jednej strony pozytywne było to jak wielu ludzi w całej Polsce wyszło na ulice i to, że zomo momentami traciło kontrolę nad sytuacją, smuciło jednak to, że nic konkretnego to nie dało poza tym, że Zachód miał o czym pisać i mówić, że był to sukces propagandowy gdyż pokazaliśmy, że Solidarność istnieje, nie poddała się i ma nadal ogromne poparcie. W czasie tych manifestacji nie było widać a może wcale nie było organizatorów, wszystko było puszczone na żywioł, nikt tym nie kierował a może przy lepszej organizacji efekty tych naszych bojów byłyby większe. Rozmiarami manifestacji wydawali się być zaskoczeni sami liderzy podziemnej Solidarności i w związku z tym nie potrafili tej sytuacji odpowiednio wykorzystać. Później powtarzało się to wiele razy.

KRAJOWA LOTERIA PIENIĘDZNA

W zakładzie pracy sieć kolportażu powoli się rozrastała. Bibułę przynosiły różne osoby i rozdawały innym, były również zdjęcia, książki i znaczki. Skrzynkę kontaktową mieliśmy w Centrali w dziale produkcji roślin. Ludzie zainteresowani bibułą wręcz się na nią rzucali, z rozprowadzaniem coraz większych ilości nie było żadnych problemów. Martwiło tylko to, że krąg odbiorców nie powiększał się zdecydowanie, w większości byli to ciągle ci sami ludzie. Wciągnięcie kogoś nowego było bardzo trudne ale nieraz się udawało. Niestety było i tak, że ludzie się zmieniali na gorsze, okazywało się, że wielu zapisywało się do Solidarności bo tak robiła większość. W momencie gdy do zakładów pracy weszło wojsko i milicja a Solidarność musiała zejść do podziemia ci niepewni szybko się od nas odcięli. Za radiem, telewizją i gazetami powtarzali głupoty o ekstremie solidarności, wywrotowcach, anarchistach, żydach itp. Nie było nas już 10 mln ale ci, którzy zostali byli w większości naprawdę twardzi. Zdarzało się i tak, że ktoś nie należał do Solidarności a teraz przejrzał na oczy i przynajmniej nas wspierał, czytał bibułę, dawał składki na internowanych. Składki były dobrowolne, średnio 100 zł. od osoby miesięcznie. Z czasem sieć kolportażu rozrastała się. Wszyscy płacący dostawali bibułę. Najczęściej były to: Tygodnik Mazowsze, Wola, CDN, Głos Wolnego Ursusa. Dużym wzięciem cieszył się też miesięcznik lub kwartalnik „Niepodległość". Bibułę otrzymywaliśmy różnymi kanałami krąg ten powiększał się coraz bardziej. O nowe kontakty było trudno gdyż w okresie karnawału Solidarności nie prowadziłem aktywnej działalności. Bardzo liczyliśmy na naszego przewodniczącego, który był internowany tak jak i jego zastępca. Po wyjściu z internatu okazało się, że stracił ochotę do pracy związkowej. Nie mogłem tego zrozumieć, takie znajomości, siedział z Lityńskim i

innymi znanymi działaczami, mógł zrobić wiele dobrego ale był całkowicie wypalony. Dopiero później po latach dowiedziałem się, że aby wcześniej wyjść z internowania podpisał lojalkę. Miał bardzo chore dziecko i trudno go za to potępiać, poza tym zachowywał się bardzo przyzwoicie, był często wzywany na Okrzei ale nigdy nic im nie powiedział o naszej zakładowej działalności, mówił za to nam różne szczegóły o tych przesłuchaniach w SB, choć za każdym razem podpisywał oświadczenie, że o rozmowach nikogo nie będzie informował. Strajku w naszym zakładzie nawet nie próbowaliśmy robić, nie było z kim. Przeważającą grupą pracowników byli tzw. chłopo-robotnicy. Mieszkańcy wsi dysponujący niewielkimi gospodarstwami rolnymi i dorabiający w Warszawie. Ludzie ci pracowali jakby na dwóch etatach i praca w Warszawie była dodatkową. W odróżnieniu od pozostałych pracowników chłopo-robotnicy godzili się na gorsze warunki pracy i mniejsze wynagrodzenia gdyż nie było to dla nich podstawowe źródło utrzymania rodziny. To była dziwna grupa społeczna spotykana chyba tylko w komuniźmie. Większość czasu spędzali w podróży z domu do pracy i z powrotem.
Ciekawym pomysłem była propozycja aby zamiast zakazanych znaczków Solidarności nosić w klapie oporniki wyjęte ze starych odbiorników radiowych. Nie pamiętam czy pomysł narodził się spontanicznie czy wyszedł od liderów podziemia. Oporniki wyjąłem ze starego radia, tyle że mogłem podzielić się z innymi. Za noszenie znaczka Solidarności groziło kolegium a za opornik nic choć wszyscy wiedzieli o co chodzi nawet tajniacy. Niewiele jednak mogli zrobić gdyż nawet komunistyczny sąd wojskowy za noszenie opornika nie był w stanie skazać człowieka. Niestety niewielu odważyło się nawet na taki prosty sposób zamanifestowania swojego oporu wobec reżimu. Ale jak już spotkało się kogoś z opornikiem to satysfakcja była ogromna a osoby takie czuły od razu do siebie sympatię. Nosiłem opornik przez kilka miesięcy, do czasu gdy przestałem widywać go u innych osób. Później nosiło się inne symbole ale nie miały one już takiego wydźwięku jak te pierwsze oporniki radiowe.
Na początku stanu wojennego po stłumieniu przez komunistów strajków władze podziemnej Solidarności wydały apel o stosowanie biernego oporu, mieliśmy chodzić do pracy ale jak najmniej robić tzw. strajk włoski. Symbolem tej akcji był **żółw**. Rozdałem i rozrzuciłem wiele takich ulotek z żółwiem. Tu akurat Polacy byli zgodni, nikt nie pracował porządnie a kradzieży w zakładach było jeszcze więcej. Za komuny z dyscypliną i motywacją do pracy było źle ale stan wojenny doprowadził do jeszcze większego rozprężenia. Potwierdziło się przysłowie, że z niewolnika nie ma pracownika. Dla kierownictw zakładów pracy najważniejsze było to aby w miejscu pracy nie było ulotek, strajków, akcji protestacyjnych, podziemnej działalności Solidarności, z tego byli rozliczani przez przełożonych. Sama produkcja liczyła się już mniej a skutki takiej polityki odczuwaliśmy przez wiele lat. Stan wojenny i okres późniejszy nauczyły ludzi, że nie opłaca się dobrze pracować bo nie płacą za pracę ale za tzw. obywatelską postawę, donosicielstwo czy układy. To głównie w tym okresie kwitły fuchy, wynoszenie z fabryk praktycznie wszystkiego co przyda się w domu lub można spieniężyć. Ludzie mówili tak: przecież to wszystko nasze. Można powiedzieć, że w 1982 roku akcja „żółwia praca” spotkała się z dużym odzewem.

Krzyż kwietny. Na pl. Zwycięstwa (obecnie Piłsudskiego), w miejscu w którym w 1979 roku odprawił Mszę Św. dla Polaków Ojciec Święty Jan Paweł II w czasie swojej pierwszej wizyty do Ojczyzny jako Papież, Warszawiacy zaczęli układać kwiaty w kształcie krzyża. Najpierw były to głównie gałązki choinek a później kwiaty, było ich coraz więcej. Przy krzyżu codziennie zbierali się ludzie aby porozmawiać, zaśpiewać pieśni religijne i patriotyczne, zapalić świeczkę, przynosili ulotki i gazetki, które kładli przy krzyżu tak aby wszyscy mogli je przeczytać.

Ja również zacząłem tam przychodzić, atmosfera była wspaniała, palce wzniesione w geście zwycięstwa, Rota, Hymn Polski, Boże coś Polskę. Niezwykłe były zakazane piosenki z II wojny światowej dopasowane słowami do aktualnych okupantów. To był codzienny repertuar tych kilkunastu, kilkudziesięciu a nieraz kilkuset zebranych pod krzyżem osób. Oczywiście komunistom było to nie na rękę, tym bardziej, że spod krzyża często przekazywali obraz do swoich krajów zachodni dziennikarze. Był to widomy znak na to, że Polacy nie poddali się reżimowi. ZOMO oczywiście nie odpuszczało, często atakowali w ciągu dnia, rozpędzali zebranych, legitymowali, niektórych zatrzymywali, później mścili się na kwiatach depcząc je. Każdej nocy gdy przy krzyżu nie było już nikogo na plac w eskorcie zomowców podjeżdżały samochody MPO i kwiaty były zabierane. Przez kilka godzin krzyża nie było ale już z samego rana pojawiały się nowe kwiaty. Choć były drogie ludzie nie żałowali na nie pieniędzy, krzyż rósł na nowo. Rano pojawiała się cieniutka niteczka kwiatów a wieczorem na placu leżał kilkunastometrowy krzyż kwietny a przy nim stał tłum ludzi.
Pewnego razu za krzyż oberwałem. Z kolegą Sławkiem, wtedy punkowcem szedłem na Starówkę, gdy przechodziliśmy w pobliżu pl. Zwycięstwa zaproponowałem aby podejść do krzyża kwietnego. Gdy weszliśmy na plac wokół było pełno milicji, budy, suki a przy krzyżu jakoś mało ludzi. Przy krzyżu klęczał mężczyzna w średnim wieku z małym dzieckiem, modlił się. Podeszliśmy i uklękliśmy obok. Żeby się pomodlić a jednocześnie zamanifestować swój sprzeciw wobec zła, tępej głupoty tych w mundurach, którzy otaczają krzyż aby nie dopuszczać do niego ludzi a jeszcze bardziej przeciwko postępowaniu tych którzy ich tu przysłali. Oni w swojej głupocie myśleli, że w ten sposób są w stanie stłumić w sercach ludzkich naturalne dążenie do dobra, prawdy, sprawiedliwości - do Chrystusa.
Przy krzyżu uklękliśmy również dlatego aby solidaryzować się z tym samotnie klęczącym mężczyzną z małym dzieckiem.
Zdążyliśmy się tylko przeżegnać, dwóch zbirów złapało mnie pod ręce i podniosło do góry. Stanąłem na nogi, szarpnęli mnie w kierunku bud milicyjnych, trzeci milicjant szedł za moimi plecami. W ten sam sposób zgarnęli mojego kolegę i nieznajomego mężczyznę, dziecko szło obok i strasznie płakało. Powłóczyłem nogami ale szedłem gdyż nie było sensu stawiać większego oporu, wokół było niebiesko. Zomowcy prowadzili mnie w milczeniu, próbowałem dowiedzieć się dlaczego, jakim prawem mnie zatrzymują ale żadnej odpowiedzi nie było. Dopiero gdy wciągnęli nas do Stara okazało się, że mówić potrafią, i to jak. W środku było ich około dwudziestu, siedzieli na ławkach pod bocznymi ścianami, pod ławkami stały butelki z żytnią , na ławkach szklanki, puste lub napełnione, kilku grało w karty. Zostaliśmy wepchnięci do samego końca, pod szoferkę. Karciarze przerwali grę, jeden z nich, chyba jakiś główny herszt zwrócił się do mnie: dawaj kurwa dowód !, gdy szukałem dowodu, dorzucił: modlić się wam zachciało, módl się teraz huju !, nic nie odpowiadałem, wyjąłem portfel ale nim zdążyłem wyjąć dowód herszt wyrwał mi go z ręki, przypomniałem sobie, że w jednej z przegródek mam ulotkę i plakietkę Solidarności. Zrobiło mi się gorąco, pomyślałem, że jak je znajdzie to będę zatrzymany. Przeliczył pieniądze, których nie było dużo, wyjął dowód i oddał portfel. Dowód otworzył i kazał mi podać swoje dane, gdy okazało się, że mieszkam na Pradze Płn. roześmiał się i powiedział: to jesteśmy ziomkami bo ja też z Pragi. Zapytał: jesteś moim kolegą ? odpowiedziałem: nie i nigdy raczej nie będziemy. Zomowcy parsknęli śmiechem. Herszt uderzył mnie pięścią poniżej pasa a gdy się zgiąłem drugi rąbnął mnie w policzek, trochę się zachwiałem ale ustałem na nogach wiedząc, że gdy upadnę pod nogi pijanej hałastry, zostanę skopany. Herszt oddał mi dowód, kazał „spierdalać” i trzymać się od pl. Zwycięstwa z daleka. Gdy ruszyłem do wyjścia na plecy posypał się grad pałek, byłem w skórze więc uderzenia były głośne ale niezbyt bolesne, po przejściu tej „ścieżki zdrowia” wypadłem na bruk. Niedaleko budy stała grupka starszych ludzi, szybo do mnie podeszli, zaczęli wypytywać co i jak i wygrażać zomowcom. Po chwili w ten sam sposób wypadł z budy mój kolega, nie miał tyle szczęścia co ja i za kilka minut na jego

plecach pojawiły się czerwono-sine pręgi. Kolegę oprócz pobicia upokorzyli wyśmiewając się, że jest „ciotą” gdyż jako rasowy punk miał ufarbowane włosy. Najdłużej trzymali nieznajomego mężczyznę, dziecko stało przy budzie w asyście kobiet i płakało ale oprawcy nic sobie z tego nie robili. Kobiety krzyczały aby puścić człowieka aż wreszcie wypadł z budy tak jak my. Trzymali go tak długo gdyż znaleźli przy nim znaczek Solidarności, kazali mu go połknąć a gdy odmówił pobili pięściami i puścili jak nas przez ‘ścieżkę zdrowia”. Po tej historii poszliśmy do jednej z knajpek na Starówce gdzie w ramach odstresowania zamówiliśmy tzw. „herbatkę” czyli winiak w filiżance jako, że obowiązywała prohibicja. Ze względu na cenę tego trunku, tak podawanego upić się nie było można ale złagodzić wpływ tej strasznej agresji i chamstwa tak.
Godzina milicyjna. Na początku stanu wojennego, wracaliśmy z kolegą z jakiejś imprezy, było ok. godz. 24.00, nic nie jeździło gdyż była godzina milicyjna, szliśmy Trasą Łazienkowską. Przy domu studenckim Riwiera-Remont zaskoczył nas patrol złożony z ok. 20 zomowców. Stać ! ręce do góry ! Zrobili nam rewizję osobistą, zabrali dowody i poprowadzili pod lufami karabinów. Szliśmy ul. Marszałkowską, my dwaj na czele a za nami żandarmi z wycelowaną w nas bronią, było to bardzo nieprzyjemne uczucie. To co dotychczas widziałem na filmach wojennych wtedy mogłem odczuć na własnej skórze. Tego, który celował we mnie zapytałem czy jak będę uciekał to mnie zastrzeli, z cynicznym uśmiechem odpowiedział: spróbuj. Na oko miał jakieś 18 lat. Wolałem go nie sprawdzać, ucieczki nie próbowałem. Doprowadzili nas do Wilczej, w środku kłębił się tłum zomowców i cywilów, wrzało jak w ulu. Ogarnęło mnie uczucie beznadziei, byliśmy zdani na łaskę tych ludzi a sądząc po rozmowach i sposobie zwracania się do siebie i aresztantów byli to ludzie wyjątkowo prymitywni. Nie bili nas, choć jeden z nich miał wyraźnie na to ochotę. Pozostali chyba wyżyli się już na innych. Odebrali nam sznurowadła, paski i wrzucili na dołek. W środku był tłum ludzi, było niesamowicie gorąco i duszno. Ludzie byli różni: trzech siedziało za zabójstwo, ciągle chodzili i byli nerwowi, kilku pijaczków siedziało lub chodziło a reszta to byli polityczni: za bibułę, nielegalne zebranie, ci byli całkiem inni, siedzieli spokojni, widać było, że psychicznie są silni, widać było, że siedzieli niesłusznie, że racja jest po ich stronie. Jeden z nas otrzymał straszne cięgi. Gdy słychać było odgłosy bicia na korytarzu, facet nie wytrzymał zaczął krzyczeć: gestapowcy nie bijcie niewinnych ludzi, wszyscy mu wtórowaliśmy ale to jego jako prowodyra wyciągnęli na korytarz. Wpadło ich ze dwudziestu, z pałami i w kaskach, nawet się nie broniliśmy, złapali tego najodważniejszego za włosy i wyciągnęli z celi. Pałowali go i kopali a nas szybko ponownie zatrzasnęli. Z początku krzyczał ale później zawlekli go dalej i już nic nie słyszeliśmy. Noc przedrzemałem na siedząco a rano zawieźli nas na kolegium w Urzędzie Miejskim przy ul. Nowogrodzkiej, za złamanie godziny milicyjnej dostałem grzywnę 2.000 zł. z możliwością zamiany na pracę społeczną. Wybrałem pracę. W Urzędzie odpracowałem społecznie 20 godz. Układałem jakieś paczki z makulaturą w magazynie. Pracowałem jakieś 10 godz. a wyrozumiała urzędniczka wiedząc co przeskrobałem zaliczyła mi te zasądzone 20.

Kolejna wielka manifestacja szykowała się na 31 sierpnia 1982 r. Była to kolejna rocznica podpisania Porozumień Sierpniowych, początek NSZZ „Solidarność”. Dostałem bardzo dużo ulotek, które rozdawałem i podrzucałem gdzie tylko się dało. W Dyrekcji MPRO, w moim zakładzie (ZPR-1), w autobusach i tramwajach. Dodatkowo sam, prymitywnie wykonanym stemplem z kartofla, wydrukowałem kilkaset ulotek. Rozrzucałem je z samochodu w miejscach gdzie przewijało się dużo ludzi. Gdy służbową nyską przejeżdżałem obok gmachu Politechniki Warszawskiej na ul. Narbutta i zobaczyłem tłum wychodzących z zajęć studentów uchyliłem okno i sypnąłem ulotkami. Młodzież zaczęła je łapać, wtem w lusterku zobaczyłem wybiegających z bramy milicjantów. Przycisnąłem gaz, oni pobiegli kawałek za mną a później zaczęli zbierać rozrzucone ulotki. Miałem niezłego

stracha, skręciłem w najbliższą uliczkę, później w następną i następną, kluczyłem, byłem pewny, że zapisali mój numer rejestracyjny i będą ścigali mnie radiowozami. Bałem się wrócić na zakład, spodziewałem, że już tam na mnie czekają. Okazało się, że strach był niepotrzebny, spokojnie wróciłem do zakładu pracy gdzie nikt na mnie nie czekał. Później, ja i wszyscy, którym opowiadałem to zdarzenie śmialiśmy się z tego jak „głupia" ulotka wykonana kartoflem potrafiła wprowadzić taki „popłoch" w szeregach MO. Przed 31 sierpnia 1982 r. wszystkich znajomych namawiałem do pójścia na manifestację. Z pracy przekonałem dwie osoby, poszliśmy na miejsce zbiórki czyli Pl. Konstytucji. Było niebiesko od zomowców, nie pozwalali się gromadzić ani zatrzymywać. Spotkałem znajomych, w tym Panią Teresę , która w tym czasie pracowała w MPRO a na manifestację przyszła z mężem Kazimierzem Orłosiem znanym pisarzem opozycyjnym, autorem m.in. „Cudownej meliny". Zostaliśmy przedstawieni, zamieniliśmy kilka słów: „uda się, czy nie ?" i już otoczyli nas zomowcy – dokumenty ! Obejrzeli dowody i kazali „uciekać" do domu. W tym czasie tłum zaczął klaskać, każda akcja legitymowania przechodniów wywoływała oklaski. W międzyczasie nadjeżdżały kolejne „budy" z których wysypywali się zomowcy. Powoli spychali ludzi w ulice Marszałkowską, aż wreszcie zaczęło się: Solidarność !, Lech Wałęsa !, Zbyszek Bujak ! Pochód ruszył w kierunku centrum, w ciągu kilkunastu sekund okazało się, że jest nas kilkanaście tysięcy. Pojawiły się transparenty i flagi: „wrona skona a orła nie pokona", „chcemy Lecha nie Wojciecha". Na czele młodzież, w środku i starsi i młodsi. Znaleźliśmy się w czołówce. Zastanawiałem się kiedy nas zaatakują. Wypadli z ul. Hożej i z przodu od ronda przy Rotundzie, armatki wodne, gaz łzawiący. Idąc w drugim czy trzecim szeregu widziałem dokładnie całą szarżę zomowców. Rzucili się na nas ze straszną furią, tłukli jak popadnie ale szczególnie zajadle tych z transparentami i flagami. Wraz z kilkudziesięcioma osobami schroniłem się do kawiarni**.** Niestety nie wszyscy zdołali uciec, zomowcy dopadli nastoletnią dziewczynę, bez litości, leżącą okładali pałkami, kopali a później zawlekli do budy. Widok był straszny ale najgorsze było to, że byliśmy bezradni nie mogliśmy jej pomóc. Zomowcy próbowali wtargnąć do kafejki, dopadli do drzwi i zaczęli je szarpać ale na szczęście przezorne kelnerki zamknęły je na klucz. Widząc, że bez wybijania szyb nie wejdą do środka zomowcy zrezygnowali i pognali za innymi ludźmi. Po kilkudziesięciu minutach gdy zomowców nie było już widać wyszliśmy na ulicę. Na chodniku i jezdni leżały kije od flag i strzępy transparentów. W oddali słychać było strzały. Przyłączyłem się do grupy skandującej: „gestapo !" Za chwilę nadjechała kolumna nysek, z której ostrzelano nas gazami łzawiącymi, puścili się za nami w pogoń. Uciekaliśmy ulicą Wspólną, petardy, którymi do nas strzelali wybuchały z taka siłą, że ciarki przechodziły po plecach a w uszach dzwoniło przez kilka minut. Z oczu lały się łzy. W bramach stały przeważnie starsze kobiety z kwasem borowym w słoikach i watą. W pewnym momencie po kolejnym wybuchu petardy przestałem cokolwiek widzieć, ktoś wciągnął mnie do bramy i po chwili czyjeś ręce położyły mi na oczy kojący opatrunek z waty. Ktoś inny radził aby broń boże nie trzeć oczu. Kwas borowy robił swoje, oczy przestały łzawić, watę oddałem starszej pani, która zamoczyła ją w płynie i przyłożyła następnemu poszkodowanemu. W bramie trwały ożywione dyskusje, starsi ludzie opowiadali o Powstaniu Warszawskim 1944 r. porównywali obecną sytuację do tej z II wojny światowej. Zomowcy powoli opanowywali całe Śródmieście, ludzie pochowani po bramach a po pustych ulicach jeździły patrole skotów, gazików, bud i polewaczek. Strzelali gazem do każdego nieostrożnego przechodnia. Trzeba było się przeprawiać starą powstańczą taktyką od bramy do bramy. W bramie na Wilczej spotkałem kolegę z pracy, z ukrycia obserwował komendę milicji do której ciągle dowozili nowych aresztantów. Postanowiliśmy razem przedrzeć się gdzieś do tramwaju lub autobusu. Ruszyliśmy Marszałkowską w kierunku centrum, było pusto, gdy zbliżał się patrol uciekaliśmy do najbliższej bramy, gdy kolumna przejechała ruszaliśmy dalej, tak doszliśmy do Świętokrzyskiej, robiło się ciemno. Całkiem niespodziewanie trafiliśmy na grupę

manifestantów, razem z nimi ruszyliśmy ul. Grzybowską. Tłum urósł momentalnie do kilku tysięcy, końca pochodu nie było widać. Znowu pojawiły się flagi i transparenty. Śpiewaliśmy Mazurka Dąbrowskiego, Rotę, skandowaliśmy: Solidarność ! Z okien ludzie machali nam chusteczkami. Na całym osiedlu Za Żelazną Bramą w oknach migały światła. Znowu atmosfera była niezwykle wzniosła i budująca, łzy radości cisnęły się do oczu, było nas tak wielu. Po pewnym czasie przeleciał nad nami helikopter, za chwilę znowu, można było spodziewać się ataku. I rzeczywiście zaatakowali nas na Marchlewskiego (obecnie Jana Pawła II), z kilku stron. Rozpierzchliśmy się w różne strony, razem z kolegą znaleźliśmy się na rondzie Marchlewskiego-Świętokrzyska. Tam próbowaliśmy utworzyć barykadę, szykowaliśmy się do odparcia ataku gromadząc kamienie i kawałki płyt chodnikowych. Pierwszy zaatakował nas skot, kamienie głucho waliły w jego blachę a on niszczył wszystko na swojej drodze, trzeba było uciekać. Za skotem tyralierą szli zomowcy, gdy rzucili się na nas okazało się, że inny oddział odciął na m tyły, nie było gdzie uciekać, ktoś krzyknął: nie cofać się-do przodu ! Nie mieliśmy wyjścia, każdy złapał tyle kamieni ile mógł unieść i z okrzykiem hurra ! rzuciliśmy się na szarżujących zomowców. Strzelali do nas gazem, jednak nie zatrzymaliśmy się, gdy byliśmy już blisko na zomowców posypały się kamienie. Grad kamieni uderzających w zomowskie tarcze dawał niezwykły efekt dźwiękowy. Zomowcy rzucili się do ucieczki, po raz pierwszy widziałem coś takiego, oni tak uzbrojeni i opancerzeni uciekali przed nami i naszymi kamieniami. Gdy dobiegli do kolumny utworzonej z bud, słyszałem jak ich dowódca wrzeszczał: stać ! formować szereg ! w ręku trzymał rewolwer. Mimo wszystko zomowcy próbowali chować się do bud jednak krzyk dowódcy zadziałał, utworzyli szereg mając za plecami tyralierę z wozów milicyjnych, wycelowali w nas i oddali salwę, petardami z gazem. Petardy śmigały nam koło głów. Zrobiło się ciemno, nic nie widziałem, ktoś prowadził mnie pod rękę, znalazłem się w bramie razem z moim kolegą, który mnie uratował, na skrzyżowaniu zostało wielu naszych. W bramie był tłum ludzi, były słoiki z kwasem borowym, znowu miałem opatrunek na oczach. Po kilku minutach doszedłem do siebie. Byliśmy w bramie starego domu na rogu Marchlewskiego i Świętokrzyskiej. Starzy warszawiacy klęli na czym świat stoi na tych bandytów, gestapowców, komunistów. Liczyliśmy się z atakiem zomowców na bramę, mieszkańcy kamienicy trzymali otwarte drzwi do mieszkań aby w razie ataku schronić się do nich. Zomowcy bali się jednak wejść do bramy. Część młodych nie miała jeszcze dosyć zbierali kamienie i atakowali przejeżdżające radiowozy. Nawet udało im się zniszczyć dużego fiata milicyjnego, który nieostrożnie stanął w bocznej uliczce. My z kolegą mieliśmy już dosyć, była 21.00 i czekała nas podróż do domu na piechotę gdyż cały ruch uliczny był sparaliżowany. Szliśmy w kierunku Al. Jerozolimskich gdy zobaczyliśmy grupkę ludzi uciekających przed radiowozem, wpadli w boczną uliczkę a radiowóz popędził za nimi jednak okazało się, że w bramach było jeszcze wielu naszych, odcięli milicjantom drogę, na nyskę posypał się grad kamieni, suka zahamowała i ruszyła do tyłu, ścięła słupek przystanku autobusowego i mimo braku szyb udało się jej uciec. Gdyby samochód lub kierowca zawiedli doszło by do linczu. Po drodze widzieliśmy jeszcze doszczętnie zniszczonego UAZ-a a przy Dworcu Centralnym rzucili się za nami zomowcy i znowu musieliśmy uciekać, nas było dwóch a ich dziesięciu, udało się ale byliśmy już wyczerpani. W domu byłem ok. 24.00, rodzice niezmiernie się ucieszyli na mój widok. Na drugi dzień podziemiami przy Rotundzie nadal nie można było chodzić, stała tam zawiesina gazów łzawiących. 31.08.1982 r. w Lubiniu zginęli ludzie w Warszawie byli ranni i masa aresztowanych. Po kilku miesiącach od tych wydarzeń, z pieniędzy składkowych wysłaliśmy pomoc na adres rodziny jednego z zabitych demonstrantów w Lubiniu. Po tych wydarzeniach o Polsce było na świecie znów głośno jednak innych efektów nie było komuna była mocna. Powoli docierało do mnie, że na ulicy z komuną się nie wygra, że nie wygra się jedną nawet spektakularną akcją, że walka będzie długa i trzeba „robić swoje”.

Co dalej ? Po manifestacjach 31 sierpnia 1982 r. , znowu pozostał niedosyt, znowu niewiele to dało oprócz rozgłosu na cały świat. Co prawda cieszyło to, że o Polsce znowu było głośno ale po raz kolejny potwierdziło się, że na ulicach z komuną się nie wygra. Zorganizowanie jakiejś akcji strajkowej w zakładzie pracy, przynajmniej moim, było nierealne. Ludzie coraz bardziej obojętnieli, chcieli tylko spokoju. Miało to odzwierciedlenie nawet w życzeniach świątecznych, począwszy od świąt Bożego Narodzenia 1981 r. wszyscy życzyli sobie spokojnych świąt. Mnie to irytowało, ten spokój za wszelką cenę, to oznaczało grzęźnięcie coraz bardziej w tym komunistycznym bagnie, w obłudzie i zakłamaniu. Ja życzyłem sobie i innym świąt z nadzieją, z odróżnianiem dobra od zła, świąt ponownego przebudzenia Polaków. Spokój oznaczał niemoc, rezygnację, godzenie się na to wszystko co się wokół działo. Godzenie się na to lub ucieczka na Zachód, tak niestety robiło coraz więcej młodych ludzi, coraz więcej moich znajomych.
Na listopada, w wiele dni po delegalizacji „Solidarności" przez reżim, podziemie wezwało do strajku generalnego, niestety było to całkowite rozminięcie się z nastrojami ludzi w zakładach pracy. Strajki były sporadyczne i nieskuteczne.
Na 10 listopada 1982 r. w rocznicę rejestracji „Solidarności" zwołano manifestację pod sądami na ul. Świerczewskiego. Z MPRO poszło ze mną kilka osób. Scenariusz był standardowy, zomo dało sygnał do rozpoczęcia. Początkowo ludzie spacerowali, stali w kolejce po bagietki, czekali na tramwaj czy autobus i dopiero gdy zomo zaczęło nas zaczepiać a po chwili przeganiać z tego rejonu, z konieczności zbiliśmy się w jedną masę i okazało się, że jest nas dużo. Zaczęliśmy skandować, tradycyjnie: „Solidarność" !, Lech Wałęsa ! Zomowcy zaczęli pałować, młodzież chwyciła za kamienie, których było pod dostatkiem na torowisku tramwajowym. Wywiązała się ostra bitwa. Okazało się, że zomców jest całe morze, musieliśmy się wycofać w kierunku Placu Teatralnego. W jednej z bocznych uliczek zaskoczyły nas radiowozy. Z jednego z nich, przez właz w dachu wyglądał zomowiec z karabinem załadowanym petardą z gazem. Razem z kolegą uciekaliśmy ulicą, niestety po drodze nie było żadnej bramy tylko po obu stronach mur. Suka dogoniła nas szybko, odskoczyłem w bok i kucnąłem zakrywając głowę rękoma. Radiowóz był tak rozpędzony, że przejechał obok mnie bez wystrzału, niestety przy koledze wyhamowali. Wiesiek zrobił to samo co ja, stanął i zakrył głowę rękoma, zomowiec z dachu z premedytacją wycelował i strzelił. Pocisk z gazem musnął kolegi głowę i uderzając w mur rozprysnął się w drobny mak. Wiesiek zniknął w tumanach dymu. Krzyknąłem: uciekaj w moją stronę !. Razem wybiegliśmy z tego kotła, z rany na czubku głowy sączyła mu się krew ale i tak miał dużo szczęścia. Była to jego pierwsza i zdaje się ostatnia manifestacja.
Następnego dnia **11 listopada 1982 r.** w Święto Niepodległości kilka osób w naszym zakładzie pracy odważyło się przypiąć do klapy ubrania biało-czerwone kokardki. Wieczorem z tej okazji odbyła się Msza Św. w Katedrze Św. Jana na Starym Mieście. Po mszy uczestnicy uroczystości zostali spałowani przez zomo w okolicy Starego Miasta i Pl. Dzierżyńskiego (obecnie Bankowy).

Spotkanie z Księdzem Jerzym Popiełuszko. W **1982** roku ktoś ze znajomych zapytał mnie czy chodzę na Msze Św. za Ojczyznę, odprawiane na Żoliborzu. Z czasem, o tych mszach słyszałem coraz częściej, również rodzice namawiali mnie do pójścia na Żoliborz, zapewniali, że przeżyję coś niezwykłego. W tym czasie przeżywałem kryzys wiary i do kościoła chodziłem raczej sporadycznie. Jednak w końcu dałem się namówić i w którąś z ostatnich niedziel miesiąca poszedłem na Żoliborz. Przez dwie godziny stałem w straszliwym ścisku, pot lał się po plecach ale z Mszy wyszedłem innym człowiekiem, silnym psychicznie, z jasną, optymistyczną wizją przyszłości. Ksiądz Jerzy mówił spokojnie ale stanowczo, w jego głosie czuło się pewność, że to co mówi pochodzi od Boga. Jego kazanie to była po prostu czysta prawda, prawda fundamentalna coś co niby wszyscy powinni wiedzieć ale ktoś

za nich musiał to wyrazić i potwierdzić słuszność ich myślenia. Ksiądz Jerzy z wyglądu był człowiekiem niepozornym ale wystarczyło być od Niego kilka kroków aby poczuć niezwykłą siłę. Wielką moc psychiczną. Od pierwszego spotkania pokochałem Tego niezwykłego człowieka. Ksiądz Jerzy naprowadził mnie znowu na właściwe tory, wiele rzeczy stało się dla mnie jasnych i oczywistych. Od tego spotkania, ponownie co niedziela byłem na Mszy Św., z uwagą wsłuchiwałem się w czytane Pismo Święte a w każdą ostatnią niedzielę miesiąca z wielką radością i nadzieją w sercu jechałem na Żoliborz aby przez 2 godziny być z księdzem Jerzym, wśród przyjaciół. Na tych Mszach atmosfera była niezwykła – serdeczność, przyjaźń, solidarność. Znak pokoju to uścisk ręki lub pocałunek, to uśmiech, ukłon. W innych kościołach to najczęściej skinienie głowy. Zwyczaj podawania ręki próbowałem stosować u siebie w parafii ale wydawało mi się, że ludzie nie bardzo wiedzieli o co chodzi. Owszem podawali rękę ale wyczuwało się, że jest to gest wymuszony. W Kościele Św. Stanisława Kostki było inaczej , było tak naprawdę po chrześcijańsku.

Mijał pierwszy rok od wprowadzenia stanu wojennego. 13 grudnia 1981 r. miałem nadziej, że Wrona upadnie po paru miesiącach a tu okazało się, że nie będzie tak łatwo. Nasze społeczeństwo było zastraszone i podzielone. Działalność w zakładzie pracy sprowadzała się do zbierania składek, rozprowadzania bibuły, wypłat zasiłków statutowych, pomocy pracownikom, którzy znaleźli się w szczególnie ciężkich warunkach materialnych itp. Kilka razy w roku wpłacaliśmy od 1.000 do 5.000 zł. na Tygodnik Mazowsze. Potwierdzenie wpłat ukazywało się pod wymyślonym przez nas hasłem OKO – Ogrodniczy Komitet Oporu. O strajku przestaliśmy myśleć, było to nierealne, szczególnie, że zakład nasz składał się z wielu jednostek rozrzuconych po całej Warszawie i okolicach. Zorganizować się było bardzo trudno. W Wigilię 1982 r. życzyliśmy sobie aby Polska jak najszybciej odzyskała wolność, ciągle wierzyliśmy, że nastąpi to niedługo.
Moje poszukiwania kontaktu z podziemiem odniosły wreszcie skutek. Kolega z osiedla, którego nigdy nie podejrzewał bym o działalność polityczną, zwierzył mi się, że pracuje dla podziemia. Był kolporterem w zakładach Nowotko, rozprowadzał głównie Wolę i CDN. Zapoznał mnie z **Arturem**. Artur był zaangażowany po uszy, on tym żył, o pracy w podziemiu mówił z błyskiem w oku i rumieńcami na twarzy. Przy współpracy z Arturem zacząłem rozprowadzać książki, załatwiałem papier do drukowania ale największą robotą jaką wtedy wykonałem były karty noworoczne 1984 r. z wroną w czapce generalskiej i okularach. Wykonałem część finalną, dostałem gotowy negatyw i metodą fotograficzną, korzystając z rzutnika i ciemni w łazience zrobiłem ponad 1.000 szt. kart. Karta rozprowadzana była po 35 zł. a ja dostałem kilka gratis i z dumą mogłem rozdawać „swoje dzieło” wszystkim znajomym. Byłem szczęśliwy mogąc robić coś co będzie zauważone przez duże grono ludzi a jednocześnie coś co godzi w ustrój.

Z nowym rokiem
1984
Cena 35 zł

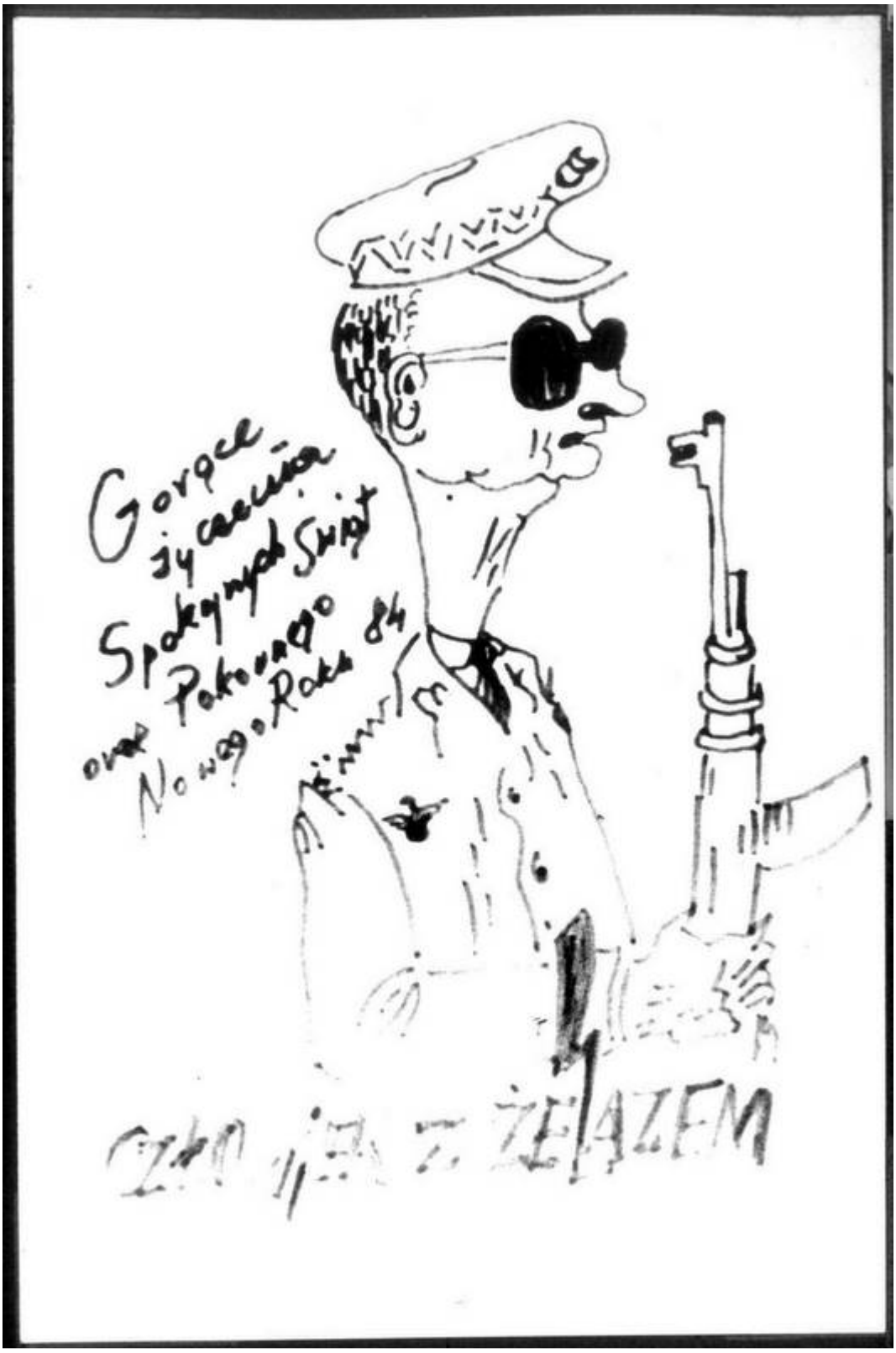
Gorące życzenia
Spokojnych Świąt
oraz Pokojowego
Nowego Roku 84
CZŁOWIEK Z ŻELAZEM

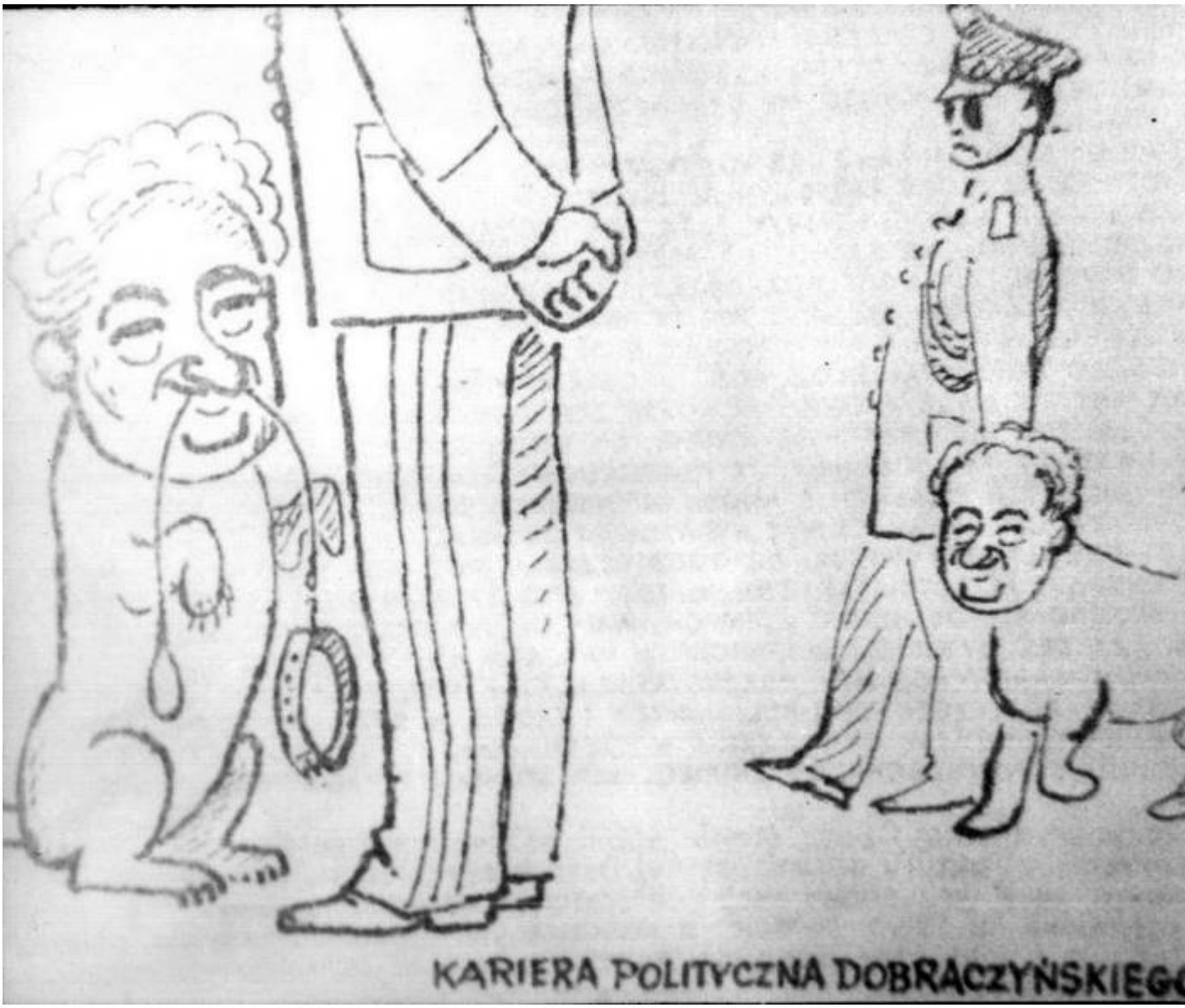

Artur był wielkim optymistą, miał przeróżne plany, był przekonany, że młodzieżowe ruchy wolnościowe będą się rozwijały, że wkrótce zwyciężymy i przejmiemy od komunistów zakłady pracy. W miarę upływu czasu gdy te prognozy się nie sprawdzały, Artur zaczynał się wypalać, coraz częściej mówił o wyjeździe z Polski. Nie pożegnawszy się wyjechał w jakiś sposób do RFN-u, od tamtej pory już się nie odzywał. Od wspólnych znajomych dowiedziałem się, że później przeniósł się do Szwecji. Podobno z początku do nich pisał, oni wysyłali mu bibułę ale po jakimś czasie kontakt się urwał.
Od Artura dostałem jedne z pierwszych wydane w podziemiu znaczki pocztowe od tego czasu zbieranie znaczków jest moim jednym z wielu hobby.
Przykład Artura był dość powszechny, niestety wielu młodych, ambitnych ludzi nie widząc żadnych perspektyw na normalność w naszym kraju emigrowała na Zachód. Polska przez stan wojenny straciła bezpowrotnie wielu zdolnych, mądrych ludzi.

Ludzie pracujący dla podziemia mieli zakaz uczestniczenia w manifestacjach ulicznych ze względu na duże prawdopodobieństwo wpadki. Niestety nie potrafiłem podporządkować się takim zakazom, gdy była tylko taka możliwość biegłem na ulicę aby wykrzyczeć się przeciw komunie.

Po wyjeździe Artura na Zachód nasza grupa rozpadła się, jednak niedługo „pozostawałem bezrobotny”. Nowy kontakt z podziemiem pomogła znaleźć mi mama, jej znajoma z pracy pochwaliła się działalnością swojego syna. Mamy umówiły moje spotkanie z **Bogdanem**, który na pierwszy rzut oka wyglądał na typowego działacza podziemia. Broda, płomienny wzrok, bijąca z postaci energia. Bogdan był związany z Fabryką Traktorów w Ursusie, w której pracował do stanu wojennego. Później za udział w strajku został wyrzucony z pracy. W podziemiu zajmował się zaopatrzeniem w papier, transportem, przerzutami maszyn drukarskich itp. Podobno często spotykał się ze Zbyszkiem Bujakiem. Na początku moja pomoc polegała na zdobywaniu papieru do drukowania bibuły i książek. Bogdan co kilka dni obierał ode mnie ryzy papieru swoim Żukiem. Towar zdobywałem na różne sposoby: kupowałem lub dostawałem od magazynierki w biurze MPRO, od zaplecza w sklepie papierniczym gdzie pracowała moja znajoma, po parę ryz przynosili znajomi, którym wspominałem o takich potrzebach. Pomagało bardzo dużo ludzi jednak nie włączając się w stałą działalność podziemną. Po pewnym czasie Bogdan wyjechał do Stanów ale przedtem pożegnał się za mną i zapowiedział, że za kilka dni zjawi się u mnie kto inny. W miejsce Bogdana pojawił się **Witek** (później okazało się, że to pseudonim, naprawdę nazywał się Zenek). Witek miał dla mnie ciekawszą pracę. Zacząłem od przerzutów sprzętu poligraficznego i materiałów z domu w Józefowie do różnych punktów w Warszawie. Maszyny, głownie offsety ważyły po ok. 80 kg. Były to dary z Zachodu. Trzeba było wykazać się siłą fizyczną i dobrą pamięcią gdyż nie można było zapisywać żadnych adresów. Przerzuty robiłem korzystając z transportu zaufanego taksówkarza lub samochodu służbowego MPRO, który sam prowadziłem. Przy mniejszych paczkach korzystałem z przypadkowo zamawianych taksówek.
Najciekawszą podróż odbyłem do Poznania. Taksówką z kierowcą. Polonez, po załadowaniu dwóch offsetów na tylne siedzenie i farb do bagażnika, mocno przysiadł. Maszyny przykryliśmy kocami, ustaliliśmy zasady i wyruszyliśmy. W razie wpadki miałem brać wszystko na siebie, gdyż w taksówkarz stracił by samochód, wersja była taka, że po prostu zatrzymałem taksówkę i zamówiłem kurs. W drodze do Poznania mijaliśmy kontrole policyjne w tym duży wypadek przy którym musieliśmy zwolnić i przejechać tuż obok kierującego ruchem milicjanta. Na szczęście tylne siedzenie nie wzbudziło jakiejś szczególnej uwagi „władzy”. W Poznaniu, pod podany adres trafiliśmy bez trudu. Drzwi otworzyła starsza pani – wypowiedziałem hasło: jestem z ZURT-u, przyszedłem naprawić telewizor. Kobieta uśmiechnęła się i wpuściła nas do środka. Poczęstowała nas herbatą, szybko znaleźliśmy wspólny temat. To było typowe patriotyczne mieszkanie, na ścianie Matka Boska, w przedpokoju kalendarz Solidarności, zdjęcie Wałęsy. Maszyny i farby wtargaliśmy do pokoju. Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w drogę powrotną. Na drogę powrotną miła Pani życzyła nam wszystkiego dobrego, z całego serca. Z takiego domu wychodziło się mocno podbudowanym, w bardzo dobrym nastroju. W drodze powrotnej spotkała nas gęsta mgła, kierowca jadąc na pusto trochę sobie pofolgował. Zatrzymał nas patrol milicji, przekroczyliśmy prędkość. Okazało się, że na tym odcinku obowiązywało ograniczanie prędkości do 60 km/godz. a my jechaliśmy 80. Milicjant wypisywał mandat a my nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu. Byliśmy w świetnym humorze a milicjant był bardzo zdziwiony.
W obrębie Warszawy i okolic kilka razy przerzucałem maszyny służbową Nyską a później Tarpanem.
Najczęściej robiłem to w pojedynkę. Pewnego razu trafiło mi się zniesienie dwóch offsetów do piwnicy w pojedynkę. Towar jak zwykle odebrałem w Józefowie gdzie przy załadunku na Tarpana miałem pomoc. Pojechałem na Żoliborz w okolice ul. Broniewskiego do czteropiętrowego budynku. Na miejscu okazało się, że towar przyjmuje 80- letnia Pani. Bardzo energiczna ale o pomoc trudno było ja prosić. Dała mi klucze do piwnicy i podała jej

numer. Poprosić o pomoc przypadkowego przechodnia również nie mogłem, tak więc sam wziąłem się do roboty. Maszyny i farby trzeba było znieść po stromych schodkach do piwnicy. Nie było na co czekać bo samochód stojący pod klatką schodową wzbudzał zainteresowanie a poza tym musiałem go odstawić na określoną godzinę do zakładu na Mokotowie. Zawziąłem się i przystąpiłem do roboty, wąziutkim zejściem, obijając się o ściany zniosłem jedną a później drugą maszynę. Myślałem, że dostanę przepukliny, kręgosłup bolał mnie przez kilka następnych dni. W piwnicy okazało się, że starowinka ma tam cały magazyn poligraficzny: offsety, matryce, farby, czego tam nie było, ciekawe czy któryś z sąsiadów podejrzewał nobliwą sąsiadkę o coś takiego.
W przypadkach gdy ładunek był mniejszy i mieścił się w plecaku lub dużej torbie np. farby drukarskie, łapałem przypadkową taksówkę. Ponieważ ostrzegano mnie, że wielu taksówkarzy pracuje dla milicji, zamawiając kurs podawałem inny numer domu niż ten do którego jechałem.
Dwukrotnie nastąpiła pomyłka lub celowo zostałem wpuszczony w maliny, otrzymałem adres, który nie istniał. Raz na Służewcu w miejscu podanego adresu znajdowała się budowa metra, a innym razem wraz z moją obecną żoną krążyłem po starym Targówku i Zaciszu służbową Nysą wypełnioną farbami. Okazało się, że bezskutecznie gdyż podany adres nie istniał.
Kilkakrotnie w przerzutach pomagał mi mój młodszy o 8 lat brat **Robert**. Tak rozpoczął swoją działalność konspiracyjną, która na tyle mu się spodobała, że wziął się za składanie książek i robił to aż do 1990 roku, wtedy złożył ostatnią pozycję: „Od i do komunizmu” Jacka Kuronia, wtedy już chyba ministra pracy w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Na pamiątkę tamtych czasów Robertowi pozostała gilotyna do docinania książek. Niestety również w tym okresie u Roberta zaczęła się poważna nieuleczalna choroba – SM.

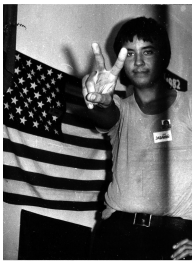

Po 1985 roku gdy mieszkałem w kawalerce na Bródnie,

w miarę wolnego czasu składałem książki. M.in. Maxa Webera „Polityka jako zawód i powołanie”. Praca ta niespecjalnie mnie pasjonowała, była mozolna a całe mieszkanie miałem zawalone paczkami. Każdy dzwonek do drzwi to pośpieszne usuwanie całego „warsztatu” introligatorskiego. Dosyć często zaglądali do mnie sąsiedzi z przeciwka, pogadać, pożyczyć cukier, taki standard. Przeważnie musieli długo czekać na otwarcie drzwi. Pewnego razu nie wszystko sprzątnąłem, przeoczyłem leżącą na półce, rozpakowaną ryzę stron książki. Sąsiadka weszła do pokoju, spojrzała na regał i zapytała: o to pan też składa książki ? a my z Jerzym (mężem) robimy to już od dawna. Tak poznaliśmy się jeszcze bliżej i to od tej dobrej strony. Ja składałem książki dla wydawnictwa NOWA a Maria z Jerzym dla „Wydawnictwa Wolność”. Wymieniliśmy się książkami, dostałem od nich „Kuriera z Warszawy” Jana Nowaka Jeziorańskiego im podarowałem Maxa Webera. Od tego czasu obdarowywaliśmy się często. Miałem komfort psychiczny sąsiadów bać się nie musiałem, a nawet można powiedzieć, że po drugiej stronie korytarza miałem bratnie dusze. Maria była nauczycielką biologii w pobliskiej szkole podstawowej.

W czasie od wprowadzenia stanu wojennego do okrągłego stołu zaliczyłem chyba wszystkie demonstracje w Warszawie. O tych najbardziej burzliwych w pierwszym roku stanu wojennego już pisałem ale później też „było ciekawie”. Od 1 maja 1983 roku na manifestacje zacząłem chodzić z radzieckim aparacikiem fotograficznym marki Smiena.

1 maja 1983 r. rano byłem na Mszy Św. w Katedrze Św. Jana, po Mszy próbowaliśmy uformować pochód ale na wyjście z obrębu ulicy Świętojańskiej nie było szans. Od Placu Zamkowego zaatakowała nas ogromna ilość zomowców. Gdy tylko zaczęliśmy skandować Solidarność !!! Zaatakowały nas armatki wodne. Musieliśmy schronić się do Katedry. Armatki wlewały wodę do środka a przed Katedrą odbywało się pałowanie. Strumień wody był tak silny, że ścinał z nóg, szczególnie starsze osoby. Z późniejszej relacji znajomych dowiedziałem się, że tak samo zomowcy potraktowali wychodzących z Mszy Św. odprawianej u Św. Anny. W tym dniu zomowcy zgarnęli wielu ludzi, bardzo dużo osób zostało pobitych.

WAŁĘSA I KZD WR

SOLIDARNOŚĆ NIE DA SIĘ
PODZIELIĆ AN

SOLIDARNOŚĆ NIE DA SIĘ
ANI ZNISZCZYĆ

TELEFONO

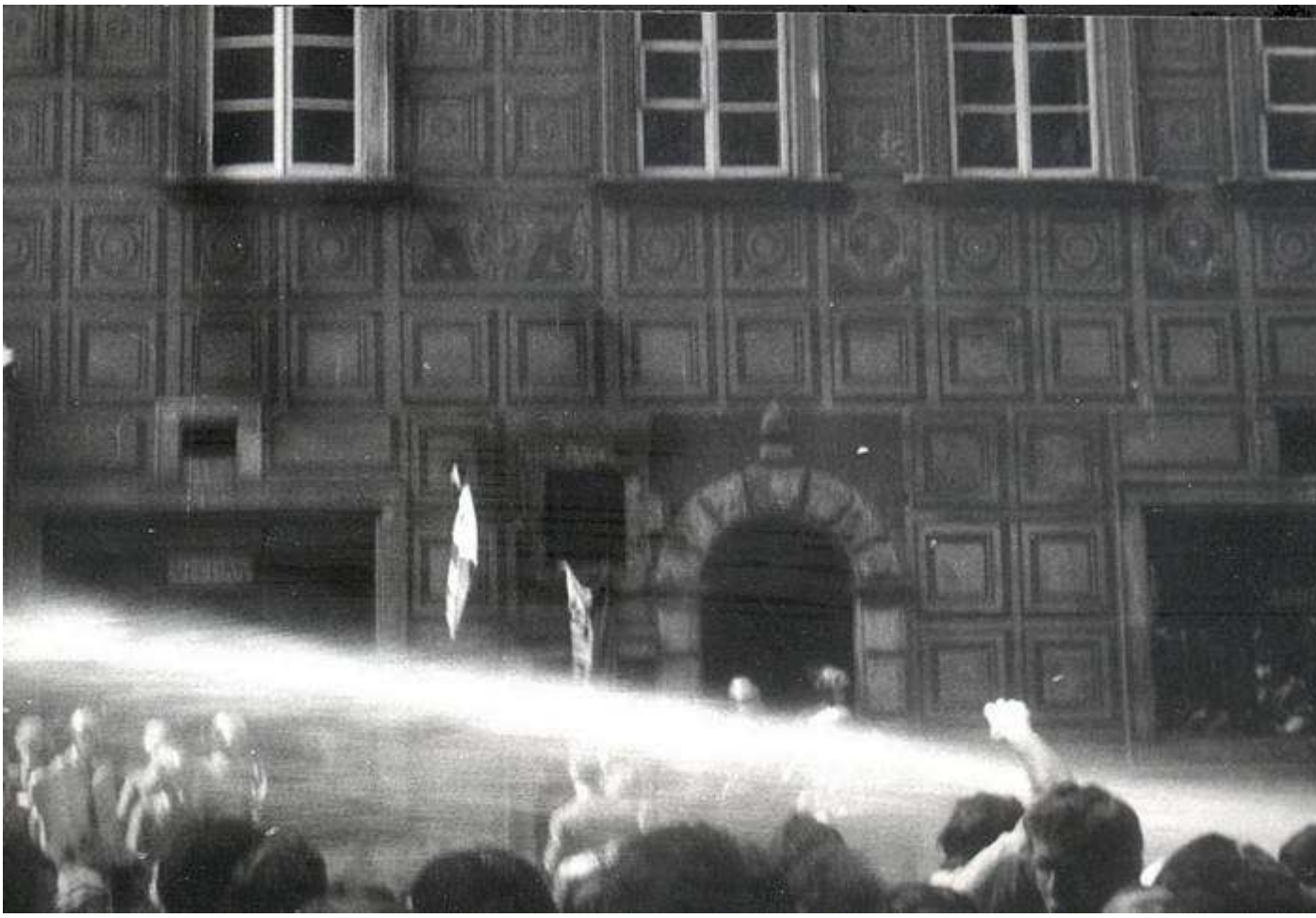

3 maja 1983 r. po Mszy Św. w Katedrze Św. Jana na Starówce ok. godz. 18.00 trochę pokrzyczeliśmy ale żadnej większej manifestacji nie było. Plac Zamkowy i Krakowskie Przedmieście były zastawione armatkami wodnymi i budami, było niebiesko od zomowców. 1 i 3 maja zrobiłem kilka ciekawych zdjęć, które rozdałem w pracy i wśród znajomych. Miałem ogromną satysfakcję z tego, że mogę pokazać ludziom choć trochę prawdy o wydarzeniach w których uczestniczyłem. Wtedy, przekaz reżimowej telewizji był taki, że to „garstka chuliganów wszczynała awantury". Moje zdjęcia, choć wykonane prymitywnym aparatem ukazywały kłamstwo środków masowego przekazu PRL.

RES SACRA MISSA

1983 r. Kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na ulicach Warszawy

W 1983 roku do Polski przyjechał Nasz Papież Jan Paweł II. Były to wielkie, wspaniałe dni, pełne radości i spontanicznych zachowań Polaków. Waga słów Papieża Polaka, w tym szczególnym czasie była ogromna. Wsłuchiwałem się w każde jego słowo, byłem dumny, że jestem rodakiem tego wielkiego człowieka.

Na przyjazd Ojca Świętego 16 czerwca oczekiwałem kilka godzin na Pl. Zamkowym. Stałem w straszliwym tłoku, raz na jednej, raz na drugiej nodze. Pot lał się ciurkiem po plecach, na dodatek na których wisiała mi zakonnica. Pomimo tych niewygód atmosfera była wspaniała, wszyscy uśmiechali się do siebie, prowadzili ciekawe rozmowy, napięcie rosło. Wreszcie doczekaliśmy się, Papież Krakowskim Przedmieściem zbliżał się do Pl. Zamkowego. Gdy kolumna samochodów pojawiła się na Placu z tysięcy gardeł wyrwał się jeden ogromny

krzyk: So-li-dar-ność !, So-li-dar-ność !..... W góre powędrowały transparenty, przy Św. Annie urwała się gałąź z siedzącymi na niej młodzieńcami. Tłum falował, każdy chciał zobaczyć choć przez ułamek sekundy „Swojego Papieża”. Próbowałem robić zdjęcia, jednocześnie strasznie podniecony krzyczałem ze wszystkimi, takiej radości jak wtedy nie przeżyłem już nigdy. Papież przejechał obok nas i skierował się do Katedry. Ruszyliśmy za nim. Wlot do ul Świętojańskiej tajniacy próbowali zamknąć barierkami ale napór ludzi był zbyt wielki, wraz z całą grupą znalazłem się w pobliżu Katedry. Gdy po modlitwie Papież opuszczał Katedrę widziałem Go już z bardzo bliska. W podświetlonym papamobilu przejeżdżał dwa metry ode mnie, stałem jak nawiedzony, z ręka podniesioną na znak zwycięstwa. Gdy Papież ponownie wjechał na Pl. Zamkowy znowu podniósł się jeden wielki krzyk: So-li-dar-ność !...Po plecach przechodziło mrowienie a oczy były wilgotne. Powrót do domu był niezwykle radosny. Zaraz po przejeździe Papy uformował się pochód, który ruszył Krakowskim Przedmieściem w kierunku Al. Jerozolimskich gdzie znajdował się ponury gmach Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Posuwaliśmy się powoli, kilkadziesiąt tysięcy gardeł skandowało: „Niech żyje Papież”! , Solidarność !, Lech Wałęsa ! Trzęsły się mury. Transparenty, kamery telewizji zachodnich, flesze aparatów fotograficznych, wszystko to dawało niezwykłą, wspaniałą scenerię. Z okien okolicznych gmachów pozdrawiali nas ludzie. Gdy doszliśmy do ronda Nowy Świat, Al. Jerozolimskie przywitał nas widok Zomowców. I tak dziwiłem się, że dopuścili nas na tak bliską odległość do bastionu Partii. Teraz bronili już gmachu swojej PZPR. Za kordonem ZOMO sam budynek Partii otoczony był wojskiem z karabinami na plecach, widać było, że boją się mocno. Trochę pokrzyczeliśmy i skierowaliśmy się Al. Jerozolimskimi do Centrum. W Alejach ZOMO zepchnęło nas na chodniki i pochód powoli się przerzedzał. Do domu wróciłem rozgorączkowany, długo nie mogłem zasnąć, myślałem już o dniu następnym.

17 czerwca 1983 r. już rano byłem na Krakowskim Przedmieściu. Pozdrawiałem Papieża jadącego do Belwederu na spotkanie z W.Jaruzelskim. Po południu tłumy Warszawiaków i pielgrzymów z całej Polski, Alejami Jerozolimskimi i Mostem Poniatowskiego zmierzły na Stadion Dziesięciolecia. Wydawało się, że na Mszę z Papieżem przyjechała cała Polska. Nastroje były bardzo radosne. Ponieważ nie miałem zaproszenia musiałem używać różnych forteli aby dostać się w miejsce z którego było coś widać. Przy wejściach na sektory milicja specjalnym przyrządem sprawdzała czy wchodzący nie wnosi czegoś metalowego ale robiła to po łebkach. Omijając wszystkie kontrole w końcu na miejsce. Po drodze spotkałem kogoś kogo nigdy nie spodziewał bym się tam spotkać. Zastępca kierownika zakładu przy ul. Racławickiej gdy mnie zobaczył wyglądał na zmieszanego. Przyjazd Papieża wywołał jak zwykle wielki entuzjazm. Tłum zaczął napierać, zostałem wciśnięty w metalowe barierki ale nie to było najważniejsze. Papież przejeżdżał bardzo blisko i zrobiłem kilka zdjęć jednak później okazało się, że nie były najlepszej jakości. Msza Św. była wielką ucztą duchową a homilia Papieża wielokrotnie była przerywana oklaskami. Po Mszy rozchodzący się wierni utworzyli kilka pochodów. W tej odświętnej atmosferze, skandując i śpiewając maszerowaliśmy Mostem Poniatowskiego do Centrum. Tak jak dnia poprzedniego na trasie naszego marszu miał znaleźć się gmach KC PZPR. Był to czysty przypadek ale komuniści byli wystraszeni i woleli zawczasu wysłać na nas ZOMO. Zaatakowali nas zaraz za Wisłą i spędzili na dół na Wisłostradę, tak pałowali i zatrzymywali. Tak to ten piękny dzień kończył się jak zwykle w PRL, gdy ludzie chcieli coś spontanicznie wyrazić.

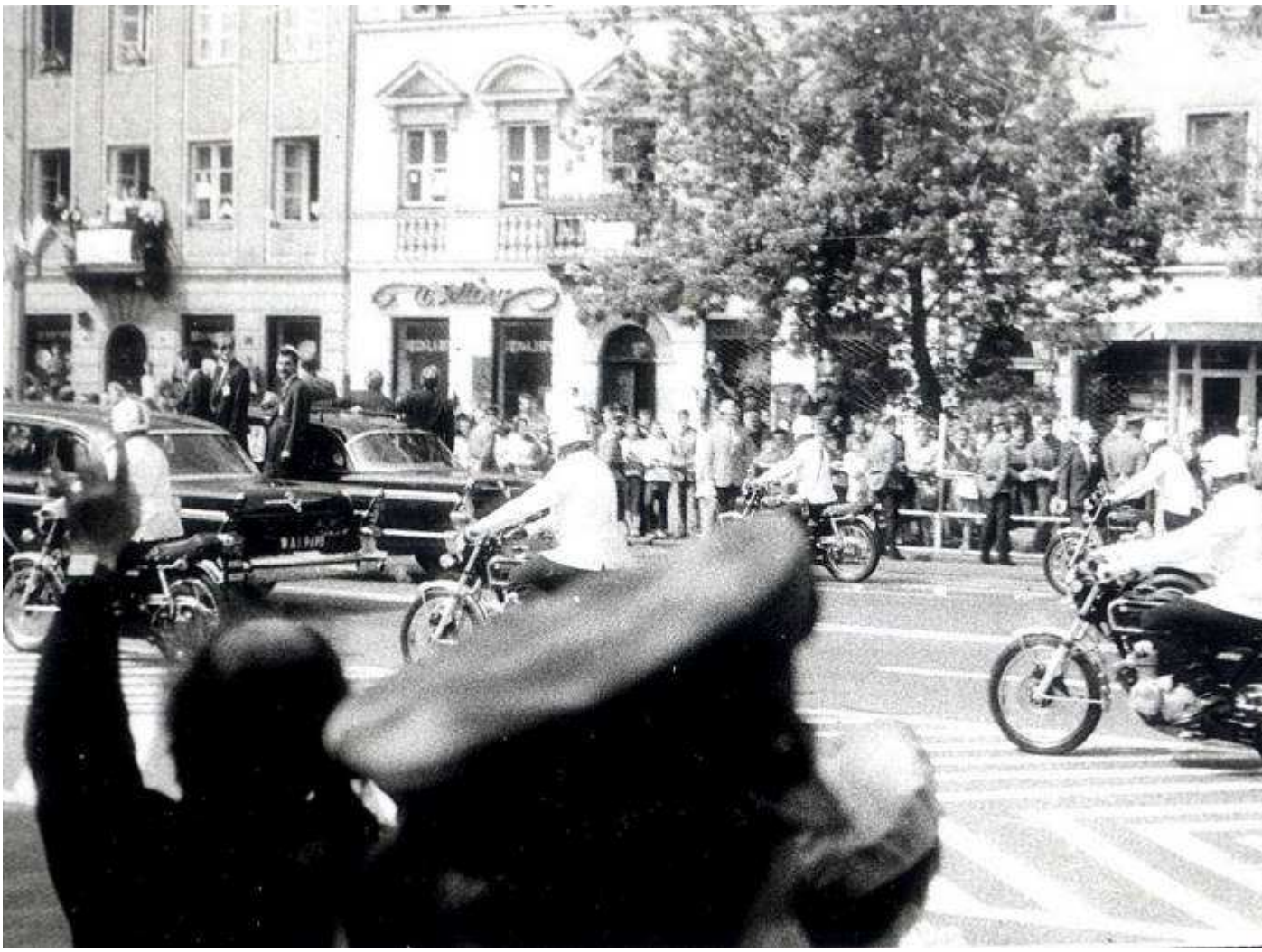

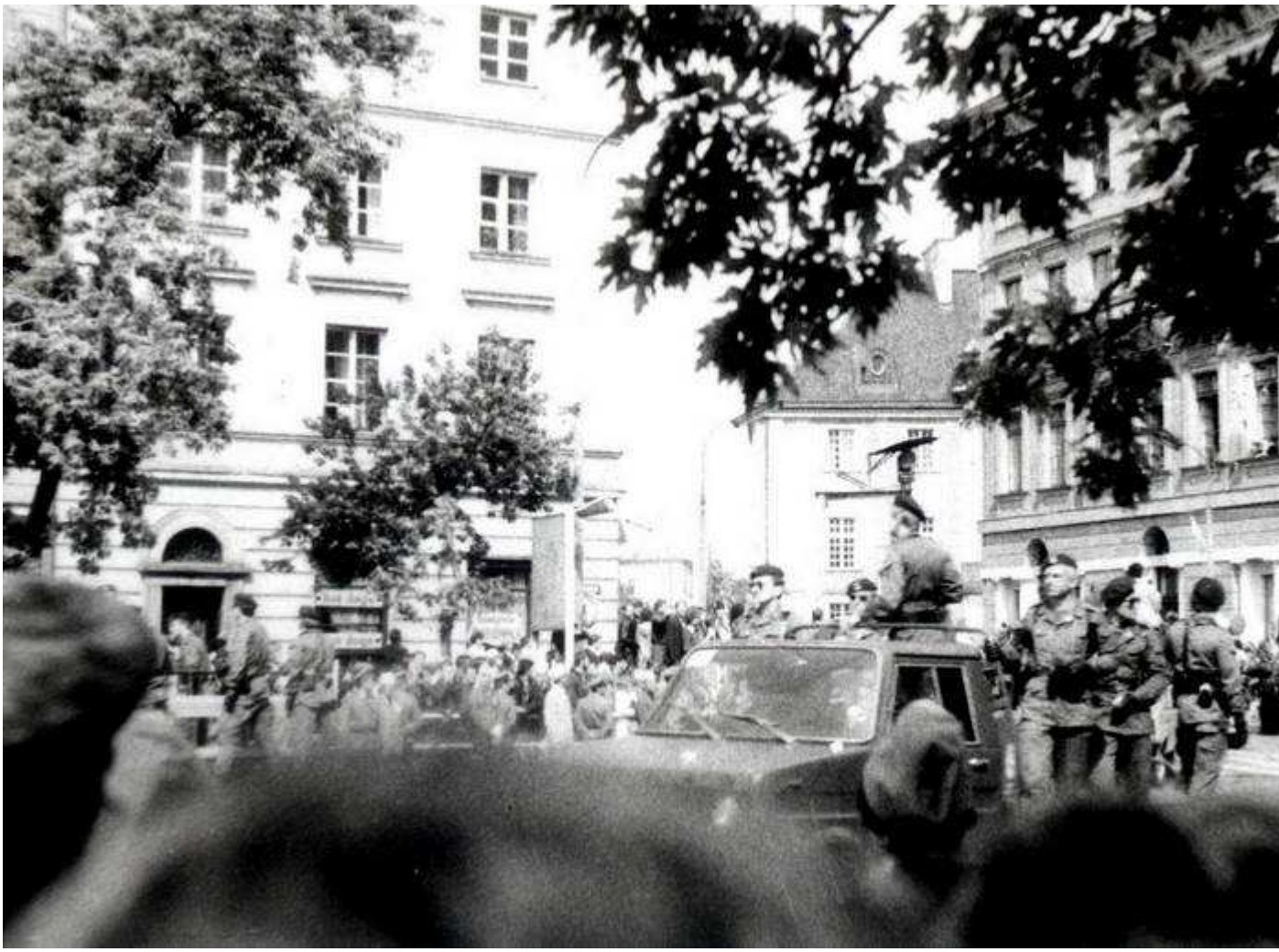

OJCZE ŚWIĘTY

OJCZE ŚWIĘTY KOCHA
Z TOBĄ

ZE ŚWIĘTY KOCHAMY CIĘ! DZIĘKUJE

GDAŃSK, GDYNIA
witają PAPIEŻA

DZIĘKU
-INTERNO

OCHAMY CIĘ! DZIĘKUJEMY! - INTERNOWANI

ОЛЕХ

ETY
TOBA

Y KOCHAMY CIĘ!

OJCZE ŚWIĘTY
NTERNOWANY

Kościół
św. Marcina

19 czerwca 1983 r. Papież Jan Paweł II był na Jasnej Górze, a ja pojechałem za Nim. Do Częstochowy postanowiliśmy jechać maluchem (Fiat 126p). Wyruszyliśmy bardzo rano, na antenie zaczepiliśmy chorągiewkę papieską a na tylnej szybie umieściliśmy duże zdjęcie Papieża i Wałęsy. Oczywiście jechaliśmy trasą katowicką tzw. gierkówką. Od czasu do czasu wyprzedzały nas autokary jadące z różnych miast, najczęściej z Gdańska. Z okien pozdrawiali nas uśmiechnięci pasażerowie, pokazywali zajączki a my rewanżowaliśmy się tym samym. Autokary oblepione były napisami Solidarność, Lech Wałęsa. Było wspaniale ale do czasu. Około 100 km od Warszawy, zobaczyliśmy stojące na poboczu autokary a wokół nich zomowskie budy, plakaty znikały z szyb. Nastrój wolności prysł przypomnieliśmy sobie, że żyjemy w państwie komunistycznym. Ponieważ stan techniczny, pożyczonego zresztą samochodu nie był najlepszy i w każdej chwili milicja mogła nas zatrzymać , na wszelki wypadek zdjęliśmy z szyby wizerunek Wałęsy. Jakieś 80 km od Częstochowy dogoniliśmy, jadąca prawym pasem kolumnę pojazdów ZOMO. Była to najdłuższa kolumna samochodów jaką widziałem w swoim życiu. Budy, suki, polewaczki, tysiące zomowców, co kilkanaście kilometrów, mijaliśmy rozstawione na środkowym pasie zieleni garkuchnie, przy których posilali się „jeźdźcy apokalipsy”. Do jazdy pozostawał jeden pas, wszyscy się spieszyli. Dziennikarze zachodni jadący mercedesami i toyotami popędzali nas mrugając światłami a

nasz maluch pocił się straszliwie ale więcej niż 90 km na godz. trudno było wyciągnąć. Dla merców było to za mało, próbowałem ich przepuszczać zjeżdżając na prawy pas pomiędzy samochody zomowskie ale ci nam wygrażali i trąbili więc nie warto było ryzykować. Niedaleko Częstochowy ujrzeliśmy czoło milicyjnej kolumny, udało się, zdążyliśmy przed blokadą miasta. Później zomowcy obstawili Częstochowę ścisłym kordonem i nie wpuszczali do miasta prywatnych samochodów. Ci którzy nie zdążyli dojechać przed blokadą musieli zostawiać samochody ok. 20 km od miasta i na Jasną Górę iść na piechotę lub dojeżdżać komunikacją miejską. Nam się udało, podjechaliśmy pod samą Jasną Górę. Zaparkowaliśmy w bocznej uliczce i na trawniku obok zaczęliśmy rozbijać namiot. Z wielkim wrzaskiem przybiegł do nas milicjant, groził kolegium. Musiałem wstrzymać się z tą czynnością ale nie na długo , za kilka godzin ponownie rozbijałem namiot, tym razem już skutecznie. Wokół na trawnikach, swoiste pole namiotowe powstawało bardzo szybko, ludzie rozbijali się gdziekolwiek. Wieczorem na Wałach Jasnogórskich odbył się Apel Jasnogórski. Papież był wspaniały, w sposób szczególny zwracał się do młodzieży, dał nam dużo radości i natchnął nadzieją. Noc była niezwykła, młodzi ludzie spali gdzie popadnie, jedni pod namiotami, inni leżeli pokotem na trawnikach, najczęściej pod drzewami jako, że padał deszcz. Gdzieniegdzie paliły się ogniska przy których pielgrzymi śpiewali całą noc. Widok tysięcy ludzi koczujących w parku i na miejskich trawnikach był niesamowity. Następny dzień też był wspaniały, choć padało, na Mszy Św. było ok. miliona ludzi, podobnie jak na Stadionie Dziesięciolecia. Był wielki ścisk, ludzie mdleli, dla chorych był specjalny, ogrodzony linami sektor gdzie podawano leki i cucono omdlałych. Po zakończeniu Mszy Św. i odjeździe Papieża uformował się pochód, który jednak został szybko rozproszony przez ZOMO. Do Warszawy wracaliśmy z radością w sercach, wyprzedzające nas samochody mrugały światłami, siedzący w nich ludzie pozdrawiali zajączkami. Psychicznie bardzo się wzmocniłem, w tych dniach Ojciec Święty dał nam tak wiele nadziei i przekazał dużo mądrości. Była to niezwykła, niepowtarzalna wizyta. Zrobiłem dużo zdjęć, które rozdawałem znajomym. Niestety Papież odleciał do Watykanu a my zostaliśmy. Choć miliony Polaków, w tych niezwykłych dniach Go słuchały to jednak w ich postawach na co dzień nie było widać jakichś zmian na lepsze. Owszem w pracy rozmawialiśmy dużo o przeżyciach związanych z wizytą ale raczej o tych wątkach sensacyjnych. O tym co Papież chciał nam przekazać w swoich homiliach i przemówieniach raczej nikt nie wspominał. Nadzieje, że ta wizyta jakoś szczególnie przebudzi Polaków okazały się płonne. W czasie wizyty, trzeba to przyznać atmosfera i nastroje były niezwykłe ale po jej zakończeniu wszystko wracało do normy – szarzyzna codziennego życia w zakłamanym PRL-u.

GDAŃSK

WARMIA

MODLITWĄ I SERCEM
SOLIDARNY

SOLIDARNY

ŻDARNOŚĆ

WITAMY WAŁĘSE

JEST
MIMO

my
!
ZIEŻ

13 sierpnia 1983 r., trochę przypadkowo znalazłem się w Gdańsku, w kościele Św. Brygidy. Po raz pierwszy, z tak bliska mogłem pozdrowić Ks. Henryka Jankowskiego i Lecha Wałęsę. Byłem strasznie przejęty jednak zrobiłem kilka zdjęć.

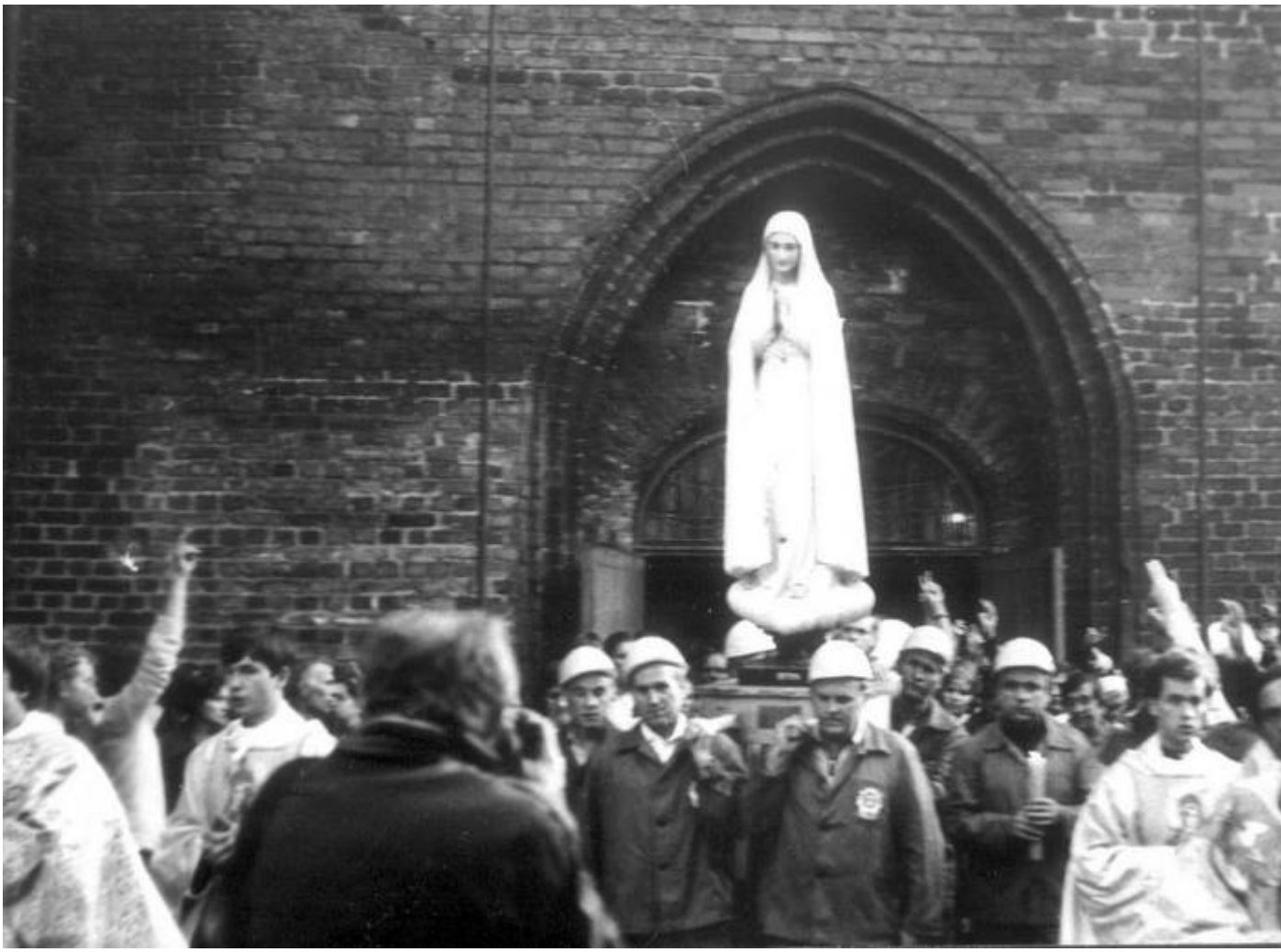

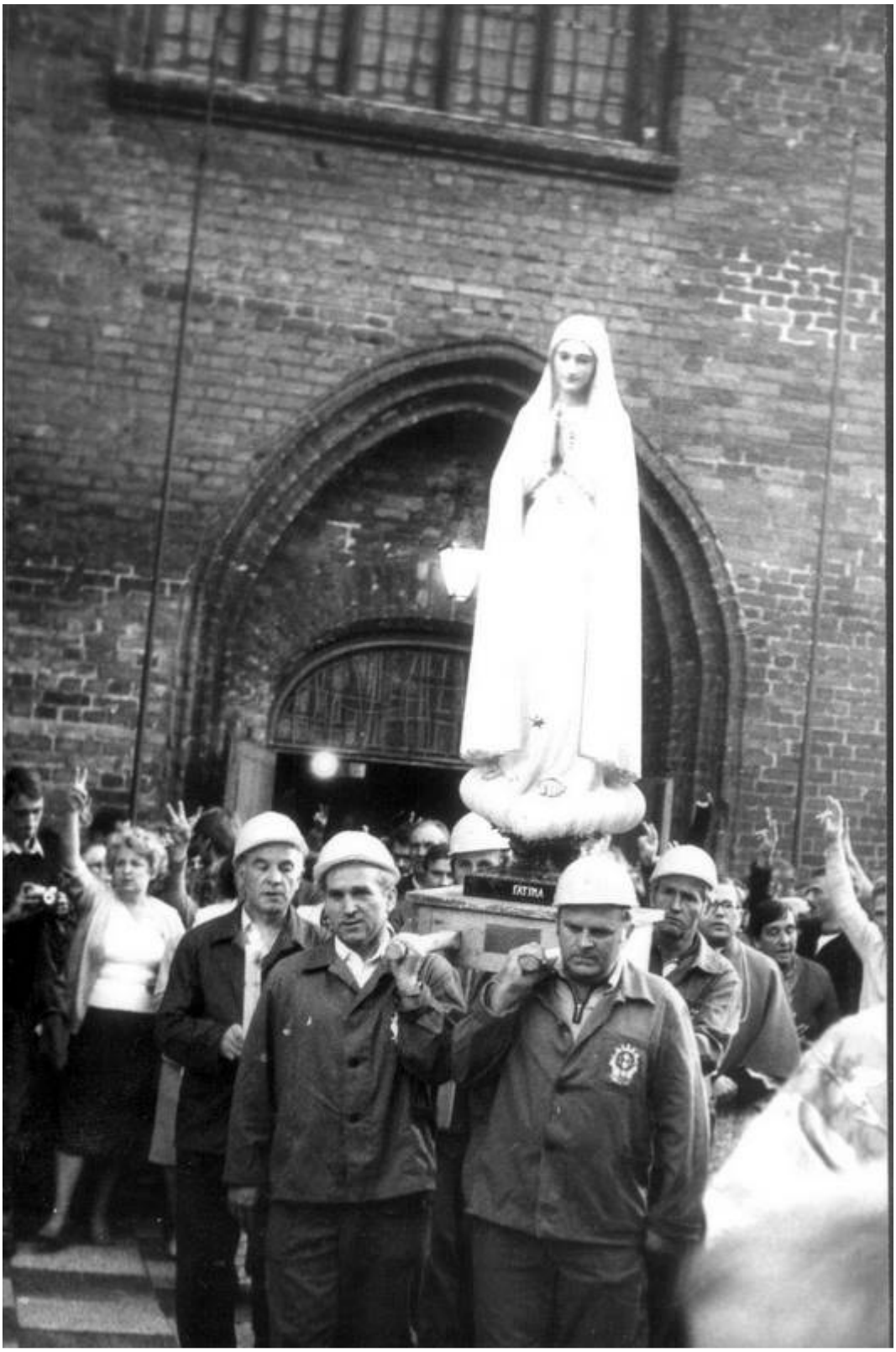
FATIMA

DANSKA

LENINA

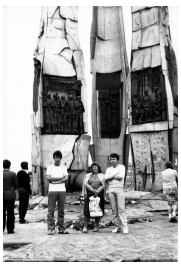

STOCZNIOWCOM
1970

Sierpień 1983 r. Ponieważ krzyż kwietny na Pl. Zwycięstwa przyciągał coraz większe rzesze Warszawiaków a milicja nie potrafiła skutecznie i trwale problemu rozwiązać, komuniści wpadli na oryginalny pomysł, postanowili wymienić nawierzchnię placu. Plac został ogrodzony a następnie zaczęło się zrywanie i wywożenie zabytkowych granitowych płyt, które zastępowano zwykłymi płytkami chodnikowymi. Specjalnie się nie spieszyli,

widać było, że czas nie gra tu roli. Ważne, że w tym miejscu nie było już krzyża i ludzi wrogo nastawionych do komuny. Komuniści jak zwykle źle ocenili nasze polskie dusze i upór w obliczu szykan, kłamstwa i przemocy. W miejsce jednego krzyża powstały dwa pod kościołem Wizytek oraz pod Świętą Anną. W tych miejscach warszawiacy spotykali się aby się wspólnie pomodlić i zaprotestować przeciw komunie. Bywałem w obu tych miejscach gdyż tam czuło się ducha wolności i Solidarności. Pewnego sierpniowego dnia przechodząc obok krzyża przy Św. Annie, zatrzymałem się i zaintonowałem na cały głos: „Nie chcemy komuny nie chcemy i już nie chcemy ni sierpa ni młota, za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów zapłaci czerwona hołota”. Ludzie wokół mnie również zaczęli śpiewać. Trwało to krótko, zaraz nas zgarnęli. Zaprowadzili na komisariat przy Jezuickiej. Ponieważ było to w dwa miesiące po zamordowaniu Grzesia Przemyka milicjanci byli bardzo ostrożni.

↑ Kościół Św. St. Kostki 84↑, 85→
↓ Powązki '84 Grób G. Przemyka

Pomimo moich uwag co do tego morderstwa, nie oberwałem. Czarną Wołgą przewieźli nas na Wilczą a rano na kolegium. Zarzut to: wznoszenie okrzyków i śpiewanie piosenek antypaństwowych. Świadkami byli cywile i mundurowi funkcjonariusze MO. Przewodniczący kolegium nie potrafił wyciągnąć od świadków jakie to były hasła i piosenki. Ja przyznałem się, że śpiewałem m.in. hymn państwowy. Całe to kolegium było jedną wielką farsą i wszyscy sobie zdawali z tego sprawę. Pomimo, że nic nie zostało udowodnione skazali

nas na grzywny po 4 tys. zł. Nie było to dużo, na dodatek za mnie zapłaciła Tajna Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” działająca w MPRO.
Krzyż przy Św. Annie i przy nim modlący się ludzie byli ciągle atakowani przez tajniaków i ZOMO. Modlitwy, śpiewy i recytacje patriotycznych tekstów były niebezpieczne dla „władzy ludowej”. Ludzie ci byli szykanowani na różne sposoby, bici, karani kolegiami w końcu ustąpili. Później krzyż z kwiatów był układany okazjonalnie. Tak było po uroczystościach Bożego Ciała w 1986 r. Korzystając z obecności tysięcy wiernych zgromadzonych wokół kościoła Św. Anny i Pl. Zamkowego ludzie ułożyli krzyż z kwiatów na nowo. Śpiewy i modlitwy trwały do wieczora ale na drugi dzień rano krzyża już nie było.

1 maja 1984 r. Po Mszy Św. w Katedrze Św. Jana, na ulicy Świętojańskiej rozpoczęła się manifestacja. Zomowcy zaatakowali od Pl. Zamkowego. Pałowali i polewali wodą z armatki. Na moich oczach pałowali leżącą starszą kobietę, później wzięli ją za ręce i nogi i wrzucili do milicyjnej budy. Żaden z nas nie miał szans na pomoc tej kobiecie. Zomowców było dużo i byli dobrze uzbrojeni. Musieliśmy schronić się w kościele. Zomowcom rzucaliśmy pod nogi drobne monety a kobiety krzyczały: macie judaszowe srebrniki. Cała Świętojańska była opanowana przez zomo. Ksiądz z kościoła Dominikanów wynegocjował z dowódcą zomo bezpieczne opuszczenie przez nas kościoła. Przy wychodzeniu z kościoła rzeczywiście nas nie bili ale później zgonili nas nad Wisłę i rozpędzali końmi. Stamtąd pojechaliśmy pod Hutę Warszawa gdzie w tym dniu również była zwoływana manifestacja robotników. Pod samą Hutę dojechać nie było można, wszędzie było niebiesko od milicji. Próbujących zbliżyć się do Huty ludzi zomowcy zatrzymywali i rozpędzali, pałując i polewając wodą. Armatki wodne a za nimi zomowcy ścigali demonstrantów i zwykłych gapiów między blokami a nawet w Lasku Bielańskim. Ten pierwszy maja nie był zbyt udany.

SPIDERWORKS

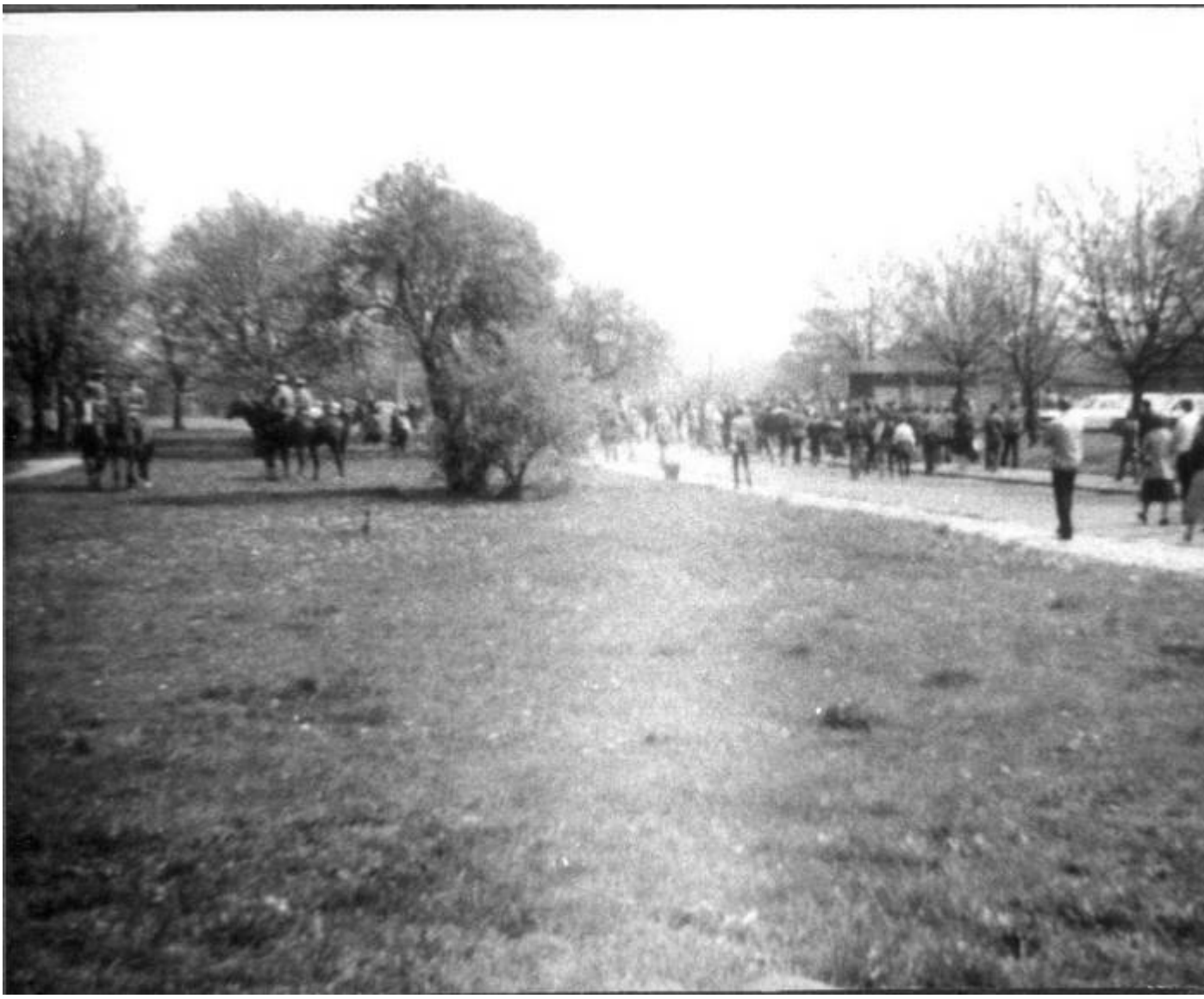

17 maja 1984 r. I rocznica śmierci Grzesia Przemyka

17 czerwca 1984 r. wybory do tzw. rad narodowych

wędliny
OBWIESZCZENIE
WYBIERAMY NOWE RADY NARODOWE
twój głos
ZAPRASZA
SKLEP NR
OBWIESZCZENIE

W czerwcu 1984 r. zmarł znany i porządny dziennikarz Karol Małcużyński. Jako poseł sprzeciwił się stanowi wojennemu. Został pochowany na Powązkach. Na pogrzebie byli m.in. Stefan Bratkowski, ks. Wiesław Niewęgłowski, Wicemarszałek Sejmu Skibniewska, redaktor Wojna – junior.

1984 r. Gdynia. Pomnik poległych stoczniowców w 1970 r.

13 sierpnia 1984 r. Ks. Jerzy Popiełuszko był w Gdańsku. W Kościele Św. Brygidy wygłosił homilię. Razem z rodzicami i bratem Robertem pojechaliśmy do Gdańska, aby towarzyszyć ks. Jerzemu. W Gdańsku spotkali się ks. Jerzy Popiełuszko, ks. Henryk Jankowski i Lech Wałęsa. Ks. Jerzy był już wtedy bardzo znany i lubiany, Gdańszczanie zgotowali Mu w kościele owacyjne przyjęcie. Był witany jak bohater, jak ktoś bardzo sławny. Ksiądz wygłosił piękne kazanie a później uczestniczył w procesji wokół kościoła. W uroczystości brali również udział hutnicy z Warszawy, którzy przyjechali z ks. Jerzym. Nocą wracaliśmy naszym „maluchem” do Warszawy wspominając niezwykłe przeżycia sprzed kilku godzin.

Homilia wygłoszona przez ks.J.Popiełuszko 13.VIII.84 r.
w kościele św. Brygidy w Gdańsku

Drodzy Bracia Stoczniowcy,szczególnie bliscy mojemu sercu przez jedność ideałów z hutnikami warszawskimi.

Śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu,wbrew założeniom tych,którzy na śmierć Go skazali,nie była klęską- ale zwycięstwem.
Krew Chrystusa przelana na krzyżu stała się źródłem zbawienia. Otworzyła ludzkości powrót do domu Ojca w Królestwie Niebieskim.Królestwie Prawdy,miłości,sprawiedliwości i pokoju.
Obowiązek budowania Królestwa na takich właśnie zasadach Jezus Chrystus nałożył na wszystkich,którzy zawarli z Nim przymierze poprzez sakrament Chrztu świętego.
Naród Polski,od ponad tysiąca lat zjednoczony z Chrystusem i Jego nauką zawsze był wierny Bogu,Kościołowi i Ojczyźnie. Hasło Bóg i Ojczyzna było nierozdzielnym elementem dziejów naszegp Narodu.
Zawsze potrafił Polski Lud ofiarę życia łączyć z ofiarą Chrystusa, aby dzięki temu zjednoczeniu nic nie zginęło,ale by wszystko stawało się odżywczą substancją dla przyszłych pokoleń.
Wielkie były cierpienia Polskiego Narodu i wiele krwi przelano w jego dziejach. Zwłaszcza w czasie ostatnich dwustu lat~~ech~~,w czasie zaborów,różnych powstań i zrywów narodowych. Wielkie były cierpienia w czasie drugiej wojny światowej,a zwłaszcza w Powstaniu Warszawskim. Wielką ofiarę cierpienia,a także i krwi złożył nasz Naród i po drugiej wojnie światowej.Ofiarę tym większą,że dokonywała się ona rękami braci,których ta sama ziemia,Matka -Polska wykarmiła.
Nie chcemy dzisiaj tych spraw rozpatrywąć szczegółowo,bo nie o to chodzi,a poza tym wielu z was zna te problemy ostatnich czterdziestu lat lepiej ode mnie.Jedno trzeba stwierdzić i mocno to sobie uświadomić,że na cierpieniach najlepszych synów Polski Podziemnej i Armii Krajowej,na więzieniu śp Kardynała Wyszyńskiego,na cierpieniach robotników Wielkopolski roku 1956,na bolesnym doświadczeniu młodzieży roku 1968,na tragicznym grudniu roku 1970,przed którym w pokorze chylimy czoła,na haniebnych wyrokach robotników Ursusa i Radomia z 1976 r.- wyrósł kolejny zryw ludzi zjednoczonych we wspólnej trosce o dom Ojczysty w roku 1980- wyrosła Solidarność,która wykazała,że Naród zjednoczony z Bogiem i braćmi zdolny jest wiele dokonać.

Wyrosła Solidarność,która bardziej niż o chleb powszedni wołała o Prawdę,Sprawiedliwość,o godność człowieka i godność ludzkiej pracy. Bardziej niż o chleb powszedni Solidarność wołała o godność człowieka, Trzeba dzisiaj bardzo dużo mówić o wysokiej godności człowieka aby zrozumieć,że człowiek przerasta wszystko,co może istnieć na świecie prócz Boga.Przerasta mądrość całego świata.
Zachować godność człowieka,to pozostać wewnętrznie wolnym nawet w warunkach zewnętrznego zniewolenia.Pozostać sobą,żyć w prawdzie - to jakieś minimum,aby nie zamazać w sobie obrazu dziecka Bożego.
Kariera każdego człowieka na ziemi - mówił zmarły Prymas - zaczyna się w pieluszce,choćby dziś nosił mundur ambasadora lub generała, i w pieluszce może nieco większej,się skończy",dlatego nie wystarczy urodzić się człowiekiem.Trzeba jeszcze być człowiekiem.
Zachować godność,to być sobą w każdej sytuacji życiowej.To stać przy prawdzie,choćby miała nas ona wiele kosztować.Bo prawda wypowiadana w słowach kosztuje.Tylko za plewy się nie płaci.Za pszeniczne ziarno prawdy trzeba często zapłacić.
Prawdy nigdy nie wolno zdradzić.Mówił poeta Nowalis,że "człowiek opiera się na prawdzie,jeśli zdradza ~~xix~~ prawdę ,zdradza siebie". Kłamstwo poniża ludzką godność i zawsze było cechą niewolników,cechą ludzi małych.A Ojciec Święty w lutym ub.roku wołał : "Nie jesteś niewolnikiem. Nie wolno ci być niewolnikiem.Jesteś synem ... "
Zachować godność,to żyć w zgodzie z sumieniem.To budować i kształtować w sobie sumienie prawe.To dbać o sumienie narodowe,bo wiemy,że gdy sumienie zawodziło,dochodziło do wielkich nieszczęść w naszej historii, Jednak gdy sumienie narodowe zaczynało się budzić,ożywiać się poczuciem odpowiedzialności za dom Ojczysty,wtedy następowało odrodzenie Narodu.Tak było w czasie zrywów powstańczych,tak było i w czasie Solidarności.Obudziło się sumienie milionów ludzi zatroskanych o dobro domu ojczystego.
Zachować godność człowieka,to żyć bez zakłamania.Mówił przed laty Prymas Tysiąclecia ; "Iluż to w Polsce jest takich ludzi,którzy udawali ateistów, z obawy,lęku czy trwogi.To jest ciężkie okaleczenie psychiki ludzkiej i to później wydaje swoje owoce,rzutuje na przyszłość..."
Solidarność umożliwiała zrzucenie maski obłudy i pod tym względem. Mówiąc o godności człowieka,woli sprawiedliwości,kieruję choć jedno zdanie i do tych,którzy pełnią niewdzięczne zawody.Zachowaj godność, bo jesteś aż człowiekiem.Bo w każdym człowieku jest ślad Boga. Bez względu na to,jaki zawód byś wykonywał,jesteś aż człowiekiem.

Zawód ma być dla człowieka,a nie człowiek dla zawodu,jak pełna prawda o człowieku wymaga aby człowiek nie był dla systemu,ale system dla człowieka.
Solidarność bardziej niż o chleb powszedni wołała o godność pracy ludzkiej.O prawo do takich warunków pracy,by ludzkie siły za szybko nie słabły,by człowiek nie był przedwcześnie wyniszczony.Nie jest rzeczą najważniejszą,aby w krótkim czasie zrobić wiele,ale żeby przez długi czas dobrze pracować.Nie można człowieka czynić narzędziem produkcji i niewolnikiem swoich własnych wytworów,bo to obdziera go z jego prawdziwej wartości.
Solidarność bardziej niż o chleb powszedni wołała o sprawiedliwość. Źródłem sprawiedliwości jest sam Bóg.A człowiek sprawiedliwy to ten,który kieruje się prawdą i miłością.Bo im więcej w człowieku jest prawdy i miłości,tym więcej sprawiedliwości.Gdzie brak jest miłości,dobra i prawdy,tam na jej miejsce wchodzi nienawiść,kłamstwo i przemoc.Stąd tak boleśnie odczuwana i widoczna jest niesprawiedliwość w krajach,gdzie władanie opiera się nie na służbie i miłości, ale na przemocy i zniewoleniu.
Sprawiedliwość czynić i o sprawiedliwość wołać mają obowiązek wszyscy bez wyjątku.Bo już przed wiekami powiedział znany filozof,że "złe to czasy,gdy sprawiedliwość nabiera wody w usta".Sprawiedliwość nakazuje więc dzisiaj w czwartą rocznicę rodzenia się Solidarności uświadomić sobie to wielkie dzieło,jakiego dokonała ona w przebudowie świadomości Polaków,nie pomijając jednocześnie i tego co czasami było w niej niedojrzałe,ale co wynikało z braku doświadczenia a nie ze złej woli.
"To słowo" - powiedział Ojciec Święty o Solidarności,mówi o wielkim wysiłku jakiego dokonali ludzie pracy w mojej Ojczyźnie,ażeby zabezpieczyć prawdziwą godność człowieka pracy".
Stąd też sprawiedliwość nakazuje domagać się,aby ludzie pracy mogli zrzeszać się w związki zawodowe im odpowiadające,aby młodzież miała prawo tworzyć organizacje odpowiadające jej aspiracjom i światopoglądowi,aby na wyższych uczelniach szanowano wolę większości przy wyborze rektorów.
Sprawiedliwość nakazuje,aby ciesząc się z powrotu naszych sióstr i braci z więzień na mocy amnestii upominać się o uwolnienie wszystkich,którzy działali z pobudek politycznych ,w tym Bogdana Lisa i Księdza Sylwestra Zycha.
Wbrew temu co się często zarzuca,to co mówię nie jest gloryfikacją Solidarności i jej przywódców.Jest to dawanie świadectwa prawdzie i wypełnianie wymogów sprawiedliwości.

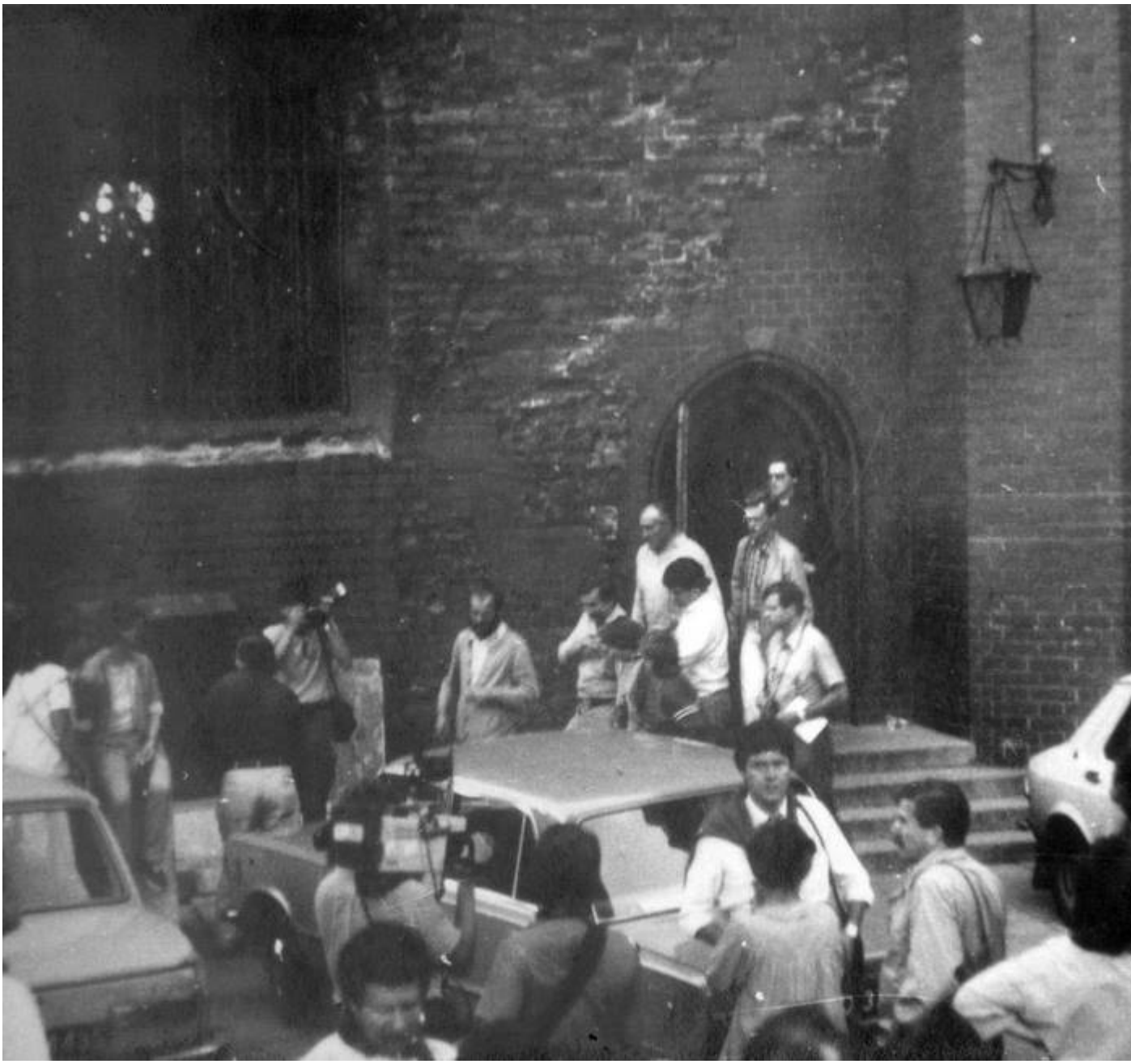

Boże Ciało 1984 r. Warszawa

500-LECIE
ŚW.
KAZIMIERZA
PATRONA
MŁODZIEŻY
OBROŃCA
NARODÓW